ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA

N—R 2 ROK VIII

15 STYCZNIA 1928 ROKU

POCAŁUNEK

Polskim Marychnom

PŁYNĘLIŚMY jaśniejącym tysiącem świateł okrętem w niebieską, usianą gwiazdami oddal, w której nigdzie nie było lądu. W balowej sali orkiestra grała walca *Destiny*. Szlochała wiolonczela, cichutko, przez łzy śmiały się ze szczęścia skrzypce, w molowych, namiętnych akordach pianino o coś prosiło błagalnem pianissimem — — —

— — — — — — — — — — — — — —

...Stali na »spardeku« i całowali się w błękitnej fantasmagorji tej czarodziejskiej, utkanej ze srebra i seledynu nocy.

Siwy, stary pan, znany pisarz francuski, głęboki i wytworny psycholog: Znów się całują. Jak pani tłumaczy sobie to zjawisko?

Ja: Hm. Czy ja wiem. Oboje są, zdaje się, paryżanami, a więc nie mogą całować się z miłości. »W Paryżu niema miłości« — mądrze powiedział pewien bolszewicki powieściopisarz, który nazywa się Ilja Ehrenburg. Rozpusta zabiła Miłość i trupa jej wrzuciła w noc bezksiężycową do Sekwany.

— Ma pani rację. A ten bolszewik wprost genjalnie odgadł duszę Paryża.

— Duszę uszminkowaną, chorą, duszę zatrutą heroiną, kokainą i opjum...

— A więc dlaczego ci ludzie się całują?

Chwila namysłu.

— Może — z namiętności?

Siwy, stary pan parska dyskretnym śmiechem.

— O naiwności! Nie, pani. Namiętność jest potęgą, wspaniałym, ślepym krzykiem siły i zdrowia. A przecież ta szkieletowata, zatruta kokainą, podstarzała histeryczka i ten dwudziestoparoletni blady cherlak nie mają nic wspólnego ze zdrowiem.

— Więc?

— Z PRZYZWYCZAJENIA, proszę pani. Tańczyli przed chwilą przy rykach jazz-bandu charlestona i zmęczyli się. Wyszli na »spardek«. Co ich obchodzi cała czarowna piękność tej nocy, srebrna, drgająca płachta morza, ciche i gwiaździste niebo? Nudzą się. Dama już sobie »zrobiła twarz« zapomocą ukrytych w torebce dwudziestupięciu różnokolorowych ołówków, tubek i flakoników. Spojrzała na księżyc, ziewnęła i powiedziała sennie: »Pocałuj mnie«. Cóż miał, biedak, zrobić? Pocałował. Zobaczy pani, że za chwilę znów sobie »zrobi usta« i szepnie tę samą propozycję blademu młodzieńcowi. Znajdowałem się sto razy w tej samej sytuacji, gdy byłem młody, oczywiście, i zapewniam panią, że ten biedak wolałby tańczyć Dirty Dig z tą śliczną, młodziutką Amerykanką, grać w bridża z oficerami, a nawet spać... Przyzwyczajenie... To panią dziwi? Przecież nie może być inaczej w kraju, w którym istnieje potwornie cyniczne, wprost odrażające i haniebne powiedzenie: *faire l'amour*... lub tak popularne określenie miłości jako »sympatji skór«. O, widzi pani? Nasza dama po raz czwarty »robi sobie usta«, jak trafnie przepowiedziałem, i znów zaczną się całować.

— Szalenie interesująco wyglądałoby obliczenie, ile tonn karminu do ust zjadają rocznie wbrew swej woli mężowie, a zwłaszcza kochankowie tych pań? I czy owe tłuste farby nie wpływają ujemnie na ich kiszki i żołądek? — dodaję z ubolewaniem.

Stary pan parska swym wytwornym, przytłumionym śmiechem. Śmiejemy się zatem pianissimo, aby nie spłoszyć opłyniętej srebrnem światłem pary, która w braku innego zajęcia znów się całuje.

— Czy Francuzi lubią takie tłuste, krwawo czerwone usta? — ryzykuję odważne pytanie ze względu na mocno podeszły wiek starego pana.

— Na pewno nie wszyscy. Ale ponieważ wszystkie nasze kobiety szminkują się w sposób coraz niemożliwszy, więc cóż mają robić mężczyźni — niebożęta? Zastrajkować? To nad ich siły. Ten czerwony, lepki, cały zrobiony z kłamstwa pocałunek jest ich najstraszliwszym nałogiem, bo — przyzwyczajeniem. Coś w rodzaju niezbędnej w pewnych godzinach trującej szklanki absyntu, rozumie pani?

Skinęłam melancholijnie głową.

— Czy pani czytała *Mademoiselle Sans Gêne* Clement Vautela? Tak? Więc pani pamięta to powiedzenie: »Wszystkie paryżanki od piętnastu do siedmdziesięciu lat mają twarze pokryte bielidłem i różem. Żadna nie ma odwagi ukazać swej twarzy taką jaka jest«.

Przerywam cicho:

— Są tak brzydkie, że gdyby ich wielbiciele zobaczyli te twarze bez owych sztucznych, wielobarwnych masek, uciekliby »gdzie pieprz rośnie«.

— Racja. Już dawno powiedział to zresztą Prosper Merimeé. Wracajmy do Vautela, który mówi: »Mężczyźni po każdym pocałunku paryżanki muszą sobie obcierać usta, usprawiedliwiając się: »To z powodu twego karminu«. Pocalunek malowanych ust — twierdzi Vautel — jest pocałunkiem ulicznej kobiety. Ściera się po nim ślady z ostrożności i o ile możności — natychmiast«.

Stary pan zapatrzył się w noc ze srebra i błękitu i nagle zapytał:

— Czy w Polsce kobiety teraz malują sobie także usta, jak we Francji?

— O tak. Niestety, proszę pana, dla bardzo wielu kobiet polskich paryżanka jest bóstwem, gwiazdą, ideałem piękności, wdzięku, szyku i dobrego tonu. Jeżeli pan zechce im złożyć hołd, zrobić największą przyjemność, trzeba im powiedzieć: »Ach, *madame*, wygląda pani zupełnie jak paryżanka!« Będą mdlały z zachwytu i wdzięczności...

— Co pani mówi? — jęknął boleśnie staruszek. — Te prześliczne, najpiękniejsze w Europie kobiety? Kobiety o tak

cudownych proporcjach, wyśnionych przez rzeźbiarza ciał? Kobiety o cerze z pereł, róż i mleka, kobiety, które prócz piękności posiadają taki wspaniały skarb, jak DUSZA? Kobiety, które tak trafnie określił autor owych fascynujących »Opowieści« Hoffman, broniąc je przed zarzutem kapryśnego charakteru i mówiąc o nich: »Głębokie uczucie, rzekoma płochość pełna poświęcenia, stoickie zaparcie się siebie, płomienna namiętność, martwy chłód — wszystko to wytwarza ów dziwaczny, niespokojny ruch na powierzchni, podobny grze wód strumienia, poruszanego do dna, którego fale pluszczą w wieczystej przemianie«.. Więc malują się, mówi pani?

— Malują.

— I może głodzą się i chudną?

— Głodzą się i chudną.

— I obcinają swoje przepyszne kasztanowate, złociste i popielate włosy?

— Obcinają.

— I biegają po ulicach, teatrach i balach napół nagie?

— Biegają.

— I pokazują każdemu przechodniowi swe posągowe kolana?

— Pokazują.

— Mój Boże! — jęknął znów boleśnie szczerze zmartwiony staruszek.

Pocieszałam go, jak mogłam, że moda jest potęgą, niezbędnym wykwitem danej epoki, i t. d., i t. d. Że we wszystkich niemal cywilizowanych krajach kobiety ślepo naśladują kreacje paryskich dyktatorów mody, szczególnie zaś, gdy te kreacje są najokropniejszem zaprzeczeniem estetyki, harmonji i dobrego smaku, i że w całym świecie kobiety dziś malują się, głodzą i pokazują kolana, bo tak chce Paryż.

— Wcale nie, proszę pani — zaprzeczył żywo staruszek. — Nie wszędzie. W Ameryce przyzwoite kobiety pokazują kolana tylko swym mężom i nie noszą koszul, tylko prawdziwe suknie z wysokim stanem, suknie harmonijnie fałdowane i marszczone, takie, jakie mi w Marsylji pokazywała w *La Vogue,* jako najmodniejsze, moja pięcioletnia, doskonale w kwestjach mody już się orjentująca wnuczka. A w Anglji bojkotuje się też przeważnie paryską modę, jako zgoła nieodpowiednią dla sportowego typu kobiety, zaś we Włoszech mądre i dzielne kobiety tworzą własną, narodową modę, tak nielitościwie wydrwioną przez paryską prasę w interesie wielkich krawców — oczywiście. W całej Skandynawji też pani nie spotka ani jednej kobiety, która, gdy powieje wiatr, pokazuje przechodniom — uda...

Zamyślił się, wpatrzony w cichy lazur nieopisanie uroczej nocy. I po długiej chwili powiedział bardzo cicho z zadumą pełną słodyczy i bólu:

— Bo widzi pani, ja wywiozłem z Polski najpiękniejsze, pełne czarownej, zawsze żywej poezji wspomnienia... Najczystsze i najjaśniejsze wspomnienie z całego mojego życia — — —

Morze wzdychało cichutko, jak kochanka, słodko znużona pocałunkami najdroższego. Stary pan przymknął zagasłe oczy i mówił jak we śnie:

— Jedna z moich ciotek poślubiła polskiego szlachcica i jako siedemnastoletni chłopiec spędziłem w ich gościnnym dworze wakacje. Był tam stary, cienisty park, i srebrny, duży staw, na którym kwitły wodne lilje. I nad stawem — moja daleka, młodziutka kuzynka polska — Marichna — —

— Marychna — — —

— Tak, tak — uśmiechnął się boleśnie — Marychna... Miała srebrnopopielate olbrzymie warkocze, szare, prześliczne oczy, oczy przeczyste, rozumne, ufne i maleńkie, bladoc[...] wone usta. Cały nieopisany czar dziewczęcości krył się w [...] godnym, cichym uśmiechu tych drobnych usteczek o wyra[...] dziecka i kobiety. W tym wyrazie tkwi część zawrotn[...] uroku Polek. Mądre, głębokie, myślące oczy i naiwne, c[...] rująco dziecinne usta... Pokochałem ją miłością dziecka i m[...] czyzny — najpiękniejszą i najszaleńszą mił ścią, która [...] skrzydła, patos, natchnienie, a w której zaledwie nieśmiał[...] z bolesnem zawstydzeniem odzywa się krew. Zaznaczam, [...] jak na francuskiego chłopca, byłem fenomenem — nie w[...] działem nic o kobiecie, nie znałem pocałunku jej ust. I w ta[...] noc, jak ta, gdy staw stał się czarą z płynnego sreb[...] w której przeglądają się gwiazdy, a lilje wodne fantasty[...] nemi kwiatami z brylantów, a Marychna — białym cud[...] o szeroko i trwożnie rozwartych w oczekiwaniu na in[...] cud oczach — pół we śnie z zamkniętemi powiekami, n[...] zręcznie i dziecinnie ucałowałem jej usta drżące z lęku[...] Jedyny pocałunek, jaki został we wspomnieniach tylu, t[...] lat, niby kwiat białej róży, rzucony na błoto życia, kw[...] tak słodko pachnący w szafirowym mroku tej letniej, nie[...] pomnianej, polskiej nocy...

Błękitne morze westchnęło cichutko, westchnęło z niew[...] mownego żalu, z wiecznie czuwającej, żałosnej tęsknoty.

— Płakaliśmy... Może z trwogi, może z zachwytu? N[...] wiem. Ten pocałunek był dla nas obojga jakiemś świetlist[...] objawieniem, przerażającą i upajającą tajemnicą... Była bi[...] jak śnieg ze szczęścia, zgrozy i oczarowania. Przysięgł[...] że będzie moją żoną za wiele, wiele lat, że cierpliwie na m[...] zaczeka w cienistym, starym parku, nad stawem, w któr[...] przeglądają się gwiazdy. Ale polskie zimy są takie twar[...] i mroźne, nieprawdaż? Więc w rok później umarła. Na zap[...] lenie płuc podobno. Umarła z temi cudownemi jak popiel[...] srebro włosami, z temi oczami głębokiemi i szaremi j[...] wasze polskie niebo jesienią i z tym moim jedynym, jed[...] nym pocałunkiem na maleńkich dziecinnych ustach — —

— — — — — — — — — — — —

— Dlatego to zdaje mi się, że wszystkie Polki powin[...] być takie, jak ta moja Marychna, która umarła...

— — — — — — — — — — — —

— Jaśniejący tysiącem świateł, zgubiony w błękicie cza[...] dziejskiej nocy, okręt płynął cicho ku nieznanym lądo[...] ku złotym pustyniom i szumiącym lasom palm sułtański[...] ogrodów już niedalekiej, tajemniczej, spalonej mordercz[...] słońcem Afryki.

— Czy pozwoli pan, bym naszą rozmowę opisała? By pr[...] czytały ją z wdzięcznością polskie Marychny? Bo tam u na[...] w Polsce, mimo wszystko są jeszcze dawne gościnne dwo[...] szlacheckie, stare, cieniste parki i srebrne stawy, na który[...] kwitną wodne lilje... I nad temi stawami marzą w księż[...] cowe noce jasnowłose prześliczne Marychny o szarych, gł[...] bokich oczach i łagodnym uśmiechu dziecinnych, niecałow[...] nych i niemalowanych warg... Pozwoli pan?

Obrócił ku mnie oczy zapatrzone w uroczy miraż daw[...] umarłej młodości, w świetlistą zjawę tej polskiej, podobn[...] do lilji wodnej, dziewczynki, która utajona w promien[...] księżyca musnęła małemi rączkami miłosnym, zaświatowy[...] gestem jego siwą, znużoną głowę. I powiedział z zadum[...]

— Bardzo panią proszę.

— Zadedykuję tę rozmowę polskim Marychnom...

Skinął w milczeniu głową z uśmiechem pełnym rozdziei[...] jącej i zrezygnowanej melancholji, którą znają tylko lud[...] bardzo samotni, bardzo nieszczęśliwi i starcy.

Helena Filochowska (Fez)

WIZYTA U ELENY SZOLTESOWEJ

PAMIĘTAM dobrze ten dzień, w którym Stefan Krczmery, znakomity historyk literatury, poeta, eseista i krytyk, powiedział do mnie:

— Musi pani koniecznie poznać Elenę Szoltesową.

Szliśmy wąziutkiemi uliczkami tego małego, dziwnego miasteczka, jakiem jest na Słowaczyźnie Święty Marcin Turczański.

Wracaliśmy z cmentarza, słowackiego Panteonu, gdzie spoczywają ci najlepsi, których ten naród wydał, ci, którzy nigdy nie schylali głowy, a ręce od pracy niezmużonej twarde mieli jak grudy górskiej ziemi.

Szłam, ciągle jeszcze z obrazem mogiły Andrzeja Kmetia przed oczyma.

— Karol Kuzmany, Paweł Mudroń, Janko Kalinczak, wszyscy tu leżą pod opieką pieczołowitą splecionych klonów i rzęsnych jarzębin, — myślałam, idąc krętemi uliczkami.

— Tu jest wielki szmat naszej historji, — powiedział jakoś twardo Krczmery.

Weszliśmy do jednego z tych domków, które w Świętym Marcinie Turczańskim są niby wszystkie podobne do siebie, a jednak każdy z nich ma swoistą wymowę.

Przez małą, czyściutką kuchenkę wchodzimy do pokoju, który już za chwilę robi na mnie słodkie, dojmujące wrażenie czegoś wyciętego z błękitnej historji dzieciństwa. Co to jest? Nie zdaję sobie narazie z tego sprawy.

Patrzę na dobrą, piękną twarz pani Eleny Szoltesowej, na wyblakłe, niebieskie, przebaczające oczy, na dwa pasma siwych włosów, wymykających się z pod czarnego, koronkowego czepca — i naprawdę nie wiem, gdzie jestem.



Elena Szoltesowa

Tak chyba jest u k a ż d e j m a m y. Tak jak u każdej mamy, są tutaj najdroższe, wypłowiałe fotografje, stare, mądrze uśmiechnięte zegary, których serca niby to odniechcenia, ale nieustannie i bezlitośnie biją: »już-czas — już-czas«, — wysoko zaścielone łóżko i dywanik, po którym dreptają suche, pomarszczone stopy.

Idąc do tego domku, znałam już dobrze tragiczną historję Eleny Szoltesowej, i może właśnie to było powodem, że wchodziłam do niego z uczuciem takiem, jak przed chwilą na cmentarz.

Pani Szoltesowa — kiedyś straciła dwoje dzieci, Elenkę i Iwana.

Cóż za tragiczna historja? — pomyśli niejeden.

Tak. Ale trzeba przeczytać książkę Szoltesowej: »Moje dzieci. Dwa żywoty od kołyski po grób«, aby to zrozumieć.

Idąc do małego domku, nie znałam jeszcze tej książki, tłumaczonej na wiele języków, ostatnio na angielski. Ale jedna dziwna, nic niby napozór nie mówiąca chwila, zadecydowała o tem, że teraz — po powrocie, w masie innych, przywiezionych książek, wyszukałam »Dwa żywoty od kołyski po grób« i przeczytałam jednym tchem.

A chwila ta była taka:

Szoltesowa z drugiego pokoju przyniosła parę swoich książek i podpisywała je.

Gdy skończyła, wzięła ostatnią do ręki i dłużej ją zatrzymała.

Ta zasuszona ręka staruszki wydała się mi nagle w mroku wrześniowego popołudnia — gładkiem dnem jakiejś bezcennej skrzynki, na które padł ciężar gorejącego serca.

— Proszę, — tu żyją »Moje dzieci«, — powiedziała pogodnie i podała mi książkę z tak pięknym uśmiechem, jakby podawała różowy, wiosną zakwitnięty tulipan.

Chciałam się schylić i ucałować tę rękę, ale pomyślałam, że t o j e s t z a m a ł o.

Nie zrobiłam tego, nie odpowiedziałam nawet, ani słowa. Nie podziękowałam. Zdawało się mi, że tak jest najlepiej.

Wrześniowy deszcz skośnemi biczykami spływał po maleńkich szybach — stukały zegary, ze ścian patrzyły najdroższe fotografje.

Ani słowa więcej Szoltesowa o tej książce nie powiedziała.

Gdy wychodziliśmy — schyliłam się nad niziutką, w czarne aksamity odzianą staruszką z czcią taką, z jaką przed godziną schylałam się nad prostym, drewnianym krzyżem Hurbana Wajańskiego.

— — — — — —

Właśnie wczoraj przeczytałam »Moje dzieci« Szoltesowej. Odłożyłam książkę z uczuciem bezgranicznego żalu: »dlaczego nie jest przetłumaczona na wszystkie języki?«

Osobliwość jedyna: pisała ją nie powieściopisarka, nie poetka, ale m a t k a.

Gdy czytamy »Treny« Kochanowskiego, mimo olbrzymiego wrażenia, gdzieś za najdalszemi kulisami czujemy poetę. W opisie charakteru Urszuli, jej sukienek i zabawek.

W »Moich dzieciach« mówi tylko matka. Nie rozdziera z rozpaczy togi, nie sentymentalizuje, nie układa umiejętnie fałdów w ból, — daje nam tylko przefiltrowane, najczystsze uczucie. Czujemy, że nawet w zapytaniu »dlaczego, dlaczego?« mieści się nie rozpacz, ale początek tej najgłębszej mądrości, którą jest przebaczenie.

Książka pisana jest w formie pamiętników. Autorka nigdy nie myślała o tem, że wrażenia te kiedyś wydrukuje.

Dzisiaj ukazały się w zbiorowem wydaniu jej dzieł i zostały już przetłumaczone na parę języków. Krytyka angielska podnosi zupełną wyjątkowość tej cudownej książki.

Myślę, że Elena Szoltesowa, dając mi ją, powiedziała za mało. W książce żyją nietylko »Jej dzieci«.

Żyją wszystkie stracone dzieci matek całego świata.

Kazimiera Alberti

Ś. P. JADWIGA PRZYBYSZEWSKA



Niemal w kilka dni po śmierci znakomitego pisarza, Stanisława Przybyszewskiego, poszła w ślad za nim w krainę cieni żona jego, Jadwiga, nieodstępna i wierna towarzyszka jego bujnego życia i serdeczna powierniczka jego twórczych myśli.

Była to jedna z tych niezwykłych i wzniosłych postaci kobiecych, które pojawiają się w literaturze jak świetlane duchy poświęcenia i miłości, towarzyszące mocarzom myśli i słowa na drodze ich zwycięskiego pochodu do sławy przez wszystkie przepaście trudów i cierpień, przez męki wydźwigania z siebie nieśmiertelnej potęgi ducha. Łączyła w sobie niepoślednią inteligencję z ogromną dobrocią i bezdenną czułością, tworząc typ idealnej żony, kochającej matki i ofiarnej przyjaciółki.

Już od wczesnej młodości zdradzała duże zamiłowanie do literatury pięknej. Szczególny kult miała zwłaszcza dla poezji. Nawet wcześnie już, bo jako panna Jadwiga Gąsowska, zaczęła stawiać pierwsze kroki na niwie literatury, przełożywszy pięknym, poetyckim językiem poemat dramatyczny Oskara Wilde'a »Salome«. Urodzona i wychowana we Lwowie, w atmosferze uwielbienia dla literatury i sztuki, przejęta głęboko pragnieniem poznawania rzeczy pięknych, przebywała przez dłuższy czas za granicą, kształcąc i urabiając swój umysł.

Los połączył najpierw jej życie z życiem mocarnego poety Jana Kasprowicza. Była natchnieniem jego potężnej twórczości, źródłem niejednego gigantycznego wzlotu, w czasach gdy autor »Miłości« i »Krzaku dzikiej róży« wzbijał się na szczyty sławy. Z niej to spływał na Kasprowicza czar pobudzającej siły, która dyktowała poecie słowa nieokreślonej piękności.

Niezbadane są jednak drogi przeznaczenia. Kiedy na horyzoncie literackim zabłysła gwiazda Stanisława Przybyszewskiego i sława jego wzięła przebojem młodą literaturę polską, Jadwiga poszła za wschodzącą jego gwiazdą i pozostała przy nim aż do końca życia. Dzieliła jego dnie sławy i triumfu, gdy młody autor »Dzieci szatana« był na ustach wszystkich, tworząc nowy dreszcz w literaturze, i dnie cierpień i udręki, gdy powoli usuwał się w cień, aby w cichej, żmudnej pracy codziennej zdobywać chleb. Nie odstąpiła go nigdy, pracowała razem z nim, otaczając każdy jego krok i każdy strzęp jego myśli czułą, niewymownie serdeczną opieką. Literatura była dla niej zawsze ukochanym ideałem. Nie objawiając swoich zdolności samodzielnie, wyładowywała swój literacki temperament w sztuce przekładania, dając piękny i artystyczny przekład powieści Hansa Heinza Ewersa »Alraune«, który Stanisław Przybyszewski swoim świetnym wstępem poprzedził.

Życie jej było pełne polotu, ofiarności i poświęcenia, zawieszone między bezprzykładną miłością do męża i uwielbieniem dla jego talentu, a cichą i pokorną pracą rozumnej, mądrej i oddanej całą duszą ideałom piękna, kobiecie. W ciszy i zapomnieniu zeszły ostatnie jej lata i kiedy zgasł ten, z którym dzieliła wszystkie radości i smutki wielkich uniesień, dobry Bóg zabrał ją z świata i przeniósł do niego, nie chcąc przerywać idealnego związku wielkiej przyjaźni i miłości dwu bratnich dusz.

Kazimierz Bukowski

W SŁOŃCU

DZISIAJ pokażę pani coś bardzo ładnego! Nie — nie powiem nic, to niespodzianka! — droży się moja przyjaciółka i przewodniczka Włoszka, dzwoniąc równocześnie do drzwi ustronnej willi obok parku Borghese.

»Czy siostry zechcą pokazać nam swoje ptaszki?« pyta uśmiechniętą furtjankę. »Ależ owszem, proszę, proszę bliżej«, odpowiada milutka »sorella«, prowadząc nas na zalany słońcem dziedzińczyk. — »Oto nasze ptaszki!«, mówi śmiejąc się.

Na dziedzińcu biega, gwarzy, chichoce spora gromadka dzieci w wieku od lat 3 do 6-ciu. Małe naguski pławią się w słońcu — prosty łyczkowy kapelusz na czarnej główce i maleńka przepaska na biodrach — oto wszystko!

Naguski przerwały zabawę i patrzą na nas ciekawie ślicznemi oczyma, wreszcie podnoszą prawą rączkę wgórę, pięknym starorzymskim powitalnym gestem. Moja towarzyszka opowiada im, że ta duża signora bardzo lubi małe dzieci i umyślnie przyjechała z bardzo dalekiego kraju, który się nazywa Polonia, żeby zobaczyć jak to się bawią dzieci w Rzymie. Opalone na bronzowo małe człowieczki podchodzą coraz bliżej, wreszcie siadają swobodnie wkoło nas i zaczyna się rozmowa: czy »tam« są także takie dzieci? czy same małe, czy duże? co robią? czy się bawią? czy mają taką »sorellę« czy inną? czy umieją śpiewać? i t. d., i t. p.

»A może wy coś zaśpiewacie dla signory«, proponuje miła »sorella« — »śpiewajcie co chcecie!« — »Dobrze, dobrze«, wołają dzieci zrywając się z ziemi, a maleńki czarny chłopczyk dodaje: »Ale niech signora także wstanie, bo »to« śpiewa się stojąc!« Wstajemy posłusznie, a dzieciaki przybrawszy poważne minki, rozpoczynają bez żadnej pomocy przepiękny hymn faszystów. Jakież dźwięczne a zgodne głosiki, jakie poczucie rytmu — zaiste, naród artystów! Skończyły śpiewać — »a teraz chcemy się bawić, dobrze »sorella«? — I w pół minuty zabawa wre w całej pełni, dźwięczy dziecięcy śmiech, błyszczą śliczne oczy, lśnią się w słońcu bronzowe ciałka, rzekłbyś, że cudne »amorini« zstąpiły z ścian starożytnej Pompei i igrają w złotem, włoskiem słońcu, pod niebem bez chmur. Po zabawie spoczynek i drugie śniadanie, ale i nam czas już odejść, choć żal opuszczać ten raj słoneczny. Dziękujemy miłym i uprzejmym siostrom i — »dowidzenia, dzieci kochane!« Wdzięcznym gestem podnoszą się na pożegnanie opalone rączki — »dowidzenia, signora Polacca, dowidzenia, żegnaj — kiedy przyjdziesz znowu?«

Po drodze opowiada mi moja towarzyszka, że widziałyśmy jedną z wielu półkolonij urządzanych w lecie w Rzymie dla biednych a wątłych dzieci. Dzieci przebywają w tych półkolonjach od rana do wieczora, otrzymują trzykrotny posiłek, zaś jedynym zabiegiem leczniczym jest kąpiel powietrzna i słoneczna.

Wszystkie półkolonje są pod ścisłym nadzorem lekarzy, dzieci są bardzo często badane i ważone a każde dziecko ma kartę osobistą, na której zapisuje się skrupulatnie stan jego zdrowia, oraz działanie pobytu na półkolonji. Na innej z tych półkolonji pokazywano mi dokładne statystyczne daty, które świadczą o wprost nadzwyczajnych wynikach zdrowotnych. Wszędzie zaś zachwyciło mnie ułożenie dzieci bardzo swobodne a jednak miłe i pełne wdzięku, a przecież są to dzieci z najuboższej warstwy.

Półkolonje te otacza szczególną opieką premjer włoski signore Mussolini. Dobiera opiekunki i lekarzy, stara się o fundusze, a nawet często sam odwiedza swoich małych pupilów. Mimo tak wielu i tak trudnych zajęć, mimo to że losy całych Włoch na jego spoczywają barkach, przecież znajduje jeszcze czas i dla biednych małych człowieczków. Zapewne dlatego, że jak sam często twierdzi »ci najmniejsi, to przyszła potężna Italja«.

Rzym, w sierpniu 1927. *M. Germanówna*

KLEJNOTY KATEDRY

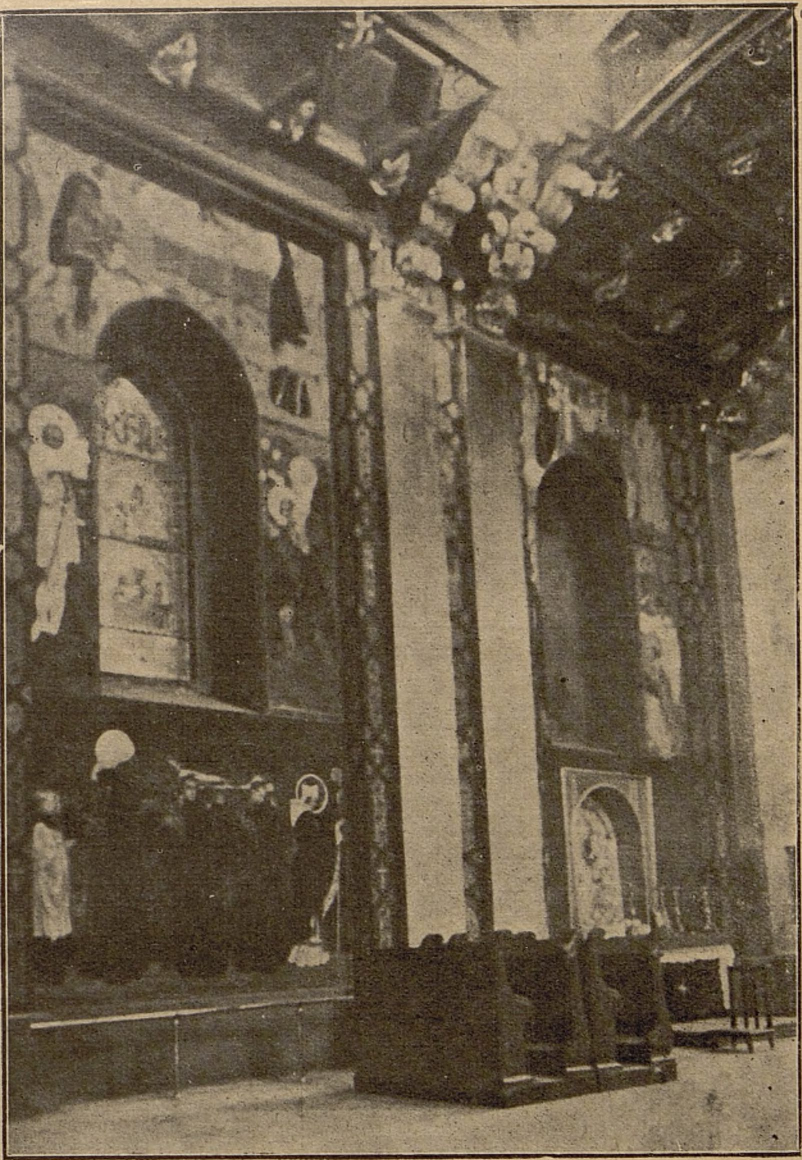
HISTORJA sztuki polskiej nie obędzie się już dziś bez karty honorowej, poświęconej twórczości Jana Henryka Rosena, a mianowicie jego malowidłom w lwowskiej katedrze ormiańskiej. Albowiem jako dekorator wnętrz nie ma on sobie równego w ojczyźnie, a i na szerokim świecie może się śmiało mierzyć z pierwszymi.

Chodzi tu o sztukę najwyższą. Przypomnijmy sobie tylko, co to o owej »Raumkunst« pisał przed dwudziestu laty pierwszy podówczas potentat sztuki niemieckiej Max Klinger, w swej słynnej, nawet niegdyś na polskie przełożonej rozprawie estetycznej p. t. »Malarstwo i rysunek«.

»W sztuce wnętrza« — czytamy tam — »ma na nas działać nie odosobnione dzieło sztuki, ale cała artystycznie jednolita przestrzeń, a więc także i otoczenie obrazu... Przystosowanie do architektury popycha artystę do alegorji, a to jest państwo, w którem pomysłowe przedstawienie idei musi się równoważyć z doskonałem przedstawieniem kształtu... Tu, w sztuce wnętrza, powinna wystąpić barwna rzeźba, do której się odnosimy jeszcze ciągle z taką nieufnością.«

»W dramatach muzycznych postawił sobie Wagner i rozwiązał zadanie, odpowiadające owemu zjednoczeniu wszystkich sztuk plastycznych...

»Wspaniałe wrażenie takiej sztuki leży w tem właśnie, że wszystko co się nie odnosi wprost do myśli głównej jest słabiej zaakcentowane, a nawet zasadniczo przekształcone, aby odwodziło każdą myśl poboczną, usuwało porównanie z żywą naturą i pełną uwagę widza kierowało na zamierzoną całość. Porównajmy np. przedstawienie powietrza i krajobrazu w cudownej kaplicy Signorellego w Orvietto i na freskach Giotta z malowidłami późnego Odrodzenia. Cierpkość i umyślne zaprzeczenie natury, które nas tam z początku prawie razi, przy głębszem zrozumieniu podnosi postacie tych fresków zupełnie ponad morze zwyczajnych ludzi. Nie widzimy tu już owej przypadkowości świata i przyrody szalejącej dziś, a znów uśmiechniętej jutro, przypadkowości, którą mimowolnie i bezwiednie przenosimy na czynności stworzeń — ale stoimy przed ludźmi, którzy się muszą liczyć z większemi i potężniejszemi mocami. To już właściwie nie ludzie stoją przed nami, ale charaktery i typy, przedstawiające ludzkie błędy i namiętności, ludzkie walki.«



Pogrzeb św. Odillona J. H. Rosen

Ten wielkiej miary sąd można całkowicie odnieść do malowideł J. H. Rosena. I one wraz z witrażami łączą się z architekturą katedry w jedną świetną całość spojoną zapomocą barwy. I tu zapowiedziany jest silny akcent barwnej rzeźby, która w postaci Chrystusa ma stanąć w pustej dotąd wnęce widocznej nad ołtarzykiem na ryc. 1. Architektura służy malowidłom wielkiemi płaszczyznami, a złocone pilastry dają obrazom świetne ramy i doskonale łączą ściany ze stropem, który, choć sam pełen błędów, dał się przecie podporządkować wielkiej linji kompozytora całości.

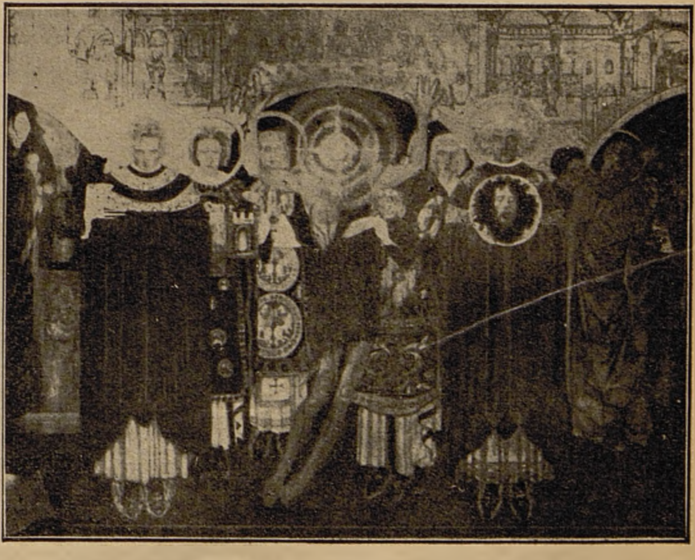
Wysokie wartości malowideł samych przemówią do każdego widza cudownością kompozycji, potęgą fantastyki, doskonałością nieomylną rysunku, świetnością i przedziwną harmonją barw. Dołączone ryciny przedstawiają sceny: »Męczeństwo św. Jana«, »Zwiastowanie N. P. Marji« i »Pogrzeb św. Odillona«. Mogą one dać pewne wyobrażenie o niektórych przymiotach poszczególnych scen i ich świetnym zespole.

Notatka dzisiejsza nie ma zawierać opisu wnętrza katedry, ani

Dokończenie na str. 22.



Zwiastowanie N. P. Marji J. H. Rosen



Męczeństwo św. Jana J. H.Rosen

Z NOWEJ LIRYKI ANGIELSKIEJ

PRZEŁOŻYŁ CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

W CHWILI ROZSTANIA

Przez jeden dzień i jedną noc Miłość śpiewała nam, pieściła nas,
na oczy zarzuciła nam złudę co słodko mami,
że pełne serca mieliśmy tej muzyki, którą pieściła nas,
a którą brała z naszych serc i naszych ust... Aż opuściła nas,
albowiem mogła zostać z nami
tylko ten dzień i noc.

Od czyhających wrażych ócz skrzydłami swemi osłoniła nas,
ukryła w cieniu swoich piór przed zatajoną zgubą,
przed językami chytrych ciżb, których nienawiść oczerniła nas.
Zawrotną wonią mirtów swych, rozkoszą swą — stopiła w nas
ciała i dusze w jedność lubą
na jeden dzień i noc.

Lecz już się wzbiły skrzydła jej i Miłość wraz opuści nas,
bo zaglądają w okna już poranku jasne zorze.
Przez jeden dzień i jedną noc była tak słodka! ale już-ci nas
odbiega Miłość; schnie jej mirt, jej brama wnet przepuści nas:
trwać bowiem dla nas Ona może
li jeden dzień i noc.

Charles Algernon Swinburne

Gdy się na bój gotuję,
gdy miecz u boku drga,
myślę o złych niedolach
ludzi lepszych niż ja.

Jak wielu dzielnym chłopcom
na głowę spadł, by grom,
frasunek mnie nieznany
i mnie nieznany srom!

To pewna: jakikolwiek
jeszcze mię czeka cios,
stokroć zacniejsi mieli
stokrotnie gorszy los.

Hm, winnyby te myśli
mężnym uczynić mię,
gdy tak na bój daremny
oto gotuję się.

A. E. Housman

Gdy turmy jej runęły...
gdy zbirów zbrakło już
posłusznych... gdy uczuła
na gardle zimny nóż, —

Królowa żyć i mroków
poczyna łkać i kląć:
O chłopcze, mój zabójco,
jutro cię każą ściąć!«

»Królowo żyć i mroków!
Podobno prawdę tyś
wyrzekła. Umrę jutro,
ale ty umrzesz dziś«.

A. E. Housman

SPÓŹNIONA MYŚL O JABŁKACH

Gdy oto znikła biała kwiecia plama
i, dojrzewając, jabłka się zazdrośnie
trzymają drzewa, wspominam, jak sama
niewielkodusznie kwitłam w nieżyczliwej wiośnie
i nie zaznałam laski,
kiedy minęły pierwsze lata brzaski;
jakem w świętoszków gronie
— o porze zbiórki owoców i ziaren —
kiwała głową by cierpki mandaryn,
wrogi wszystkiemu, co ma słońca wonie.

Dziś, w mej jesieni, jakież nawałnice
moją postawę zginają zuchwałą,
jakie spiekoty sieką moje lice,
jaki wiatr ćwiczy me uparte ciało!
Mniej srogo patrzę dziś, jak towarzysze
zlatują w czeluść z pośród mego kółka,
bo moja własna wiotczeje szypułka,
bo sama słabiej wiszę.

A jednak, Panie,
nie racz mię strącać w błotniste otchłanie;
ani, wciąż pysznej nad bracią upadłą,
nie każ mi, bym na jadło
krzykliwym wróblom dała miąższ mój jasny.
Kiedyś, w pogodny i łagodny dzień,
racz Sam leciutko potrząsnąć mój pień,
a spadnę, Boże, do twej ręki własnej.

Hellen Parry Eden

SREBRO

Cicho, wolno chodzi księżyc
w stroju swym ze srebrnych wstężyc;
widzi tam i sam w pomroce
srebrne — w srebrze drzew — owoce;
popod strzechą posrebrzoną
okna światło jego chloną;
srebrnołapy pies w swej budzie
śpi jak pień po dziennym trudzie;
gołębnika ciepły schówek
chroni srebrny sen cukrówek;
srebrem oczka i pazurka
błysła myszka, mknąc z podwórka;
i bez ruchu tkwi w głębinie
srebrny karp przy srebrnej trzcinie.

Walter de la Mare

WYWCZAS

Co mi po życiu, jeśli mam się kwapić,
nigdy nie mogąc wstrzymać się i gapić?

Nie mając czasu z pod cienia dąbrowy
patrzeć tak długo jak owce lub krowy?

Nie widząc w lasach, mijanych z pośpiechem,
ryżej wiewiórki zajętej orzechem?

Nie mając czasu ujrzeć w dzień strumienia
pełnego gwiazdek by nocne sklepienia?

Ani przystanąć na zew Piękna wróżki,
aby się przyjrzeć pląsowi jej nóżki

i póty patrzeć, aż się na jej licach
dopełni uśmiech, zaczęty w źrenicach?

Nędzne to życie, gdy trzeba się kwapić,
nie mając czasu wstrzymać się i gapić!

W. H. Davies

MYŚL

Kiedy zaglądam do lustra,
sam jestem celem swych trudów;
Ale gdy patrzę w jezioro,
tysiącznych szukam w niem cudów.

Kiedy zaglądam do lustra,
widzę głupca, mój Boże!
Ale mądrego człowieka
widzę w jeziorze.

W. H. Davies

NIELITOŚCIWA LITOŚĆ

Martwy, bez czucia, leżałem w ciemności;
Czas spływał po mnie jak deszcz po murawie.
Wtem ty — przez którą zmarłem — myśl łaskawszą
rzuciłaś na mą pamięć. I znów krwawię.

John Freeman

---

tem mniej być analizą jej skarbów; ma dać tylko zachętę naszej warstwie inteligentnej do zapoznania się z dziełami J. H. Rosena i wżycia się w ich wielkie wartości.

Ograniczę się więc do kilku tylko wiadomości i wskazówek: Malowidła są wykonywane temperą (farbami białkowemi) na suchym tynku. Technika to żmudna, zasadniczo różna od techniki freskowej, polegającej na kładzeniu farb wprost na świeżą mokrą zaprawę. Nad farbami olejnemi ma tempera nanoszona na ścianę tę wyższość, że okazuje większą świetność barw, że nie ma połysku i że rokuje nadzieję dłuższej trwałości (dość wspomnieć katastrofalny stan olejnego obrazu na ścianie refektarza w klasztorze medjolańskim SS. Maria della Grazie: »Ostatnia Wieczerza« Lionarda do Vinci).

Na ścianie prawej od wejścia widzimy trzy szeregi kompozycyj na tematy przedchrześcijańskie od mitologji i kultu greckiego, przez Zakon Stary aż do »Zwiastowania«. Po lewej ręce znów w trzech piętrach ułożone są grupy świętych chrześcijańskich, powiązane w przedziwnie przejmujące całości.

Tak to w ciszy starodawnego, przez ogół dość zapomnianego kościoła dokonała się rzecz wielka: powstało dzieło, o którem już dziś możemy powiedzieć bez wahania, że jest chlubą sztuki polskiej. Prawdziwe klejnoty katedry.

Ignacy Drexler

MĘŻCZYZNA ZA KTÓREGOBYM WYSZŁA

Marzenia i aspiracje sławnej młodej autorki *(Dokończenie)*

JEŻELI przy pierwszem spotkaniu dostrzegłabym go w postawie siedzącej, coś w wyrazie jego oczu powiedziałoby mi, że kiedy wstanie, okaże się wysokim mężczyzną. Jego ubranie mogłoby być trochę wytarte, szorstkie, nasuwające reminiscencje o życiu obozowem i ciężkiej pracy. Potem podniósłby lewą rękę gestem zamyślenia, by przygładzić włosy na skroni, i wtedy doznałabym nagle uczucia upokorzenia.

Myślałby wolniej i z większą ścisłością niż ja. Jego świat umysłowy byłby bogaty w osobliwości życia, spędzonego w nieznanych, dziwnych stronach. Rozumiałby psy, ale nie rozumiałby kobiet. Potrafiłby ocenić kapitalny nonsens i ryczeć ze śmiechu nad historją konia, który siedział na jajach. Dla niego jak i dla mnie nie byłoby nic śmieszniejszego nad uroczystą falangę pasażerów jadących po czterech w jednym rzędzie, na dachu omnibusu, w Piątej Alei. Jego zawód mógłby być takim, jakim go sobie obrał. Mógłby nawet tak sobie, niedbale, odniechcenia, nie śpiesząc się, zarabiać piórem na skromne utrzymanie. Miałby swą cząstkę sławy literackiej i zaśmiewałby się razem ze mną, by uchronić się od próżności.

Musiałby palić — przedewszystkiem fajkę, co zaś do tytoniu to byłaby to amatorska mieszanina, ulubiony specjał jakiegoś starego kapitana, wilka morskiego.

Byłoby mu do twarzy w angielskich tweedach i flanelach; byłby interesującym, milczącym mężczyzną, w wielkim płaszczu i czapce nasuniętej na oczy. W wieczorowym ubraniu wyglądałby bardzo dobrze.

Czaiłaby się w nim stała groźba. Tkwiące w nim możliwości podbiłyby mnie odrazu, on jednak byłby wyższy ponad wszelką możliwość upokorzenia mnie przez okazanie mi swej wyższości męskiej. Naturalnie z wyjątkiem wypadku, gdybym się brzydko zachowała i dokuczyła mu w obecności innych; kobiety korzystają czasem z nędznej przewagi, jaką im daje pozycja towarzyska. Ukarałby mnie za to niezwłocznie w cztery oczy. Jednakowoż jego mocne poczucie miary, silniejsze niż u mnie, nie pozwoliłoby mu na nadużycie swojej władzy. We wszelkich konfliktach, w których, że tak powiem, przeciwstawiłabym mu się otwarcie, na jego własnym gruncie, nie posunąłby się nigdy do charakterystycznej męskiej brutalności.

Zdaję sobie sprawę, że ślizgam się po cienkim lodzie. Niewątpliwie naraziłabym na szwank moją pozycję, wobec ukrytej za parawanem publiczności, gdybym tylko napomknęła, że mało sobie robię z sądu, wyrażonego w starym wierszu, kończącym się następująco: »Im więcej je bić, tem są lepsze«. Ale też nie okazałabym się zdrajczynią swojej płci do tego stopnia, żeby całem sercem przychylić się do systemu »bicia«. Nie łaknę obecnie ani też nie spodziewam się łaknąć w przyszłości tego, co nazywają wulgarnie »biciem«. Z drugiej strony, tak długo jak kobiety będą tem czem są dzisiaj będą one uważały za rzecz lojalną torturować mężów zapomocą tych podstępnych, brzydkich sposobików, wobec których mężczyźni są najzupełniej bezbronni. Będąc kobietą i ja sama będę się prawdopodobnie uciekać do takich metod.

Szczerze mówiąc, mam jakąś ufność, że wyjdę za człowieka, który mi poprostu nie pozwoli dać się ponieść tego rodzaju impulsom. Wcześnie, w zaczątku naszych stosunków, nauczy mnie nawet pod groźbą ostrych środków, że wrodzone przyzwyczajenie subtelnego nadużywania swych praw musi zostać złamane odrazu i definitywnie. Widziałam kobietę, która rozmyślnie, z zimną krwią, dręczyła męża przez całe popołudnie i wieczór, bez żadnej próby odwetu z jego strony. Udało jej się nie tylko wydrwić go wobec obcych, ale i doprowadzić do tego, że naprawdę wyglądał na głupca. W głębi duszy b. się ucieszyłam, kiedy na drugi dzień rano, przy śniadaniu, ukazała się z miną szczerze skruszoną, potulnie ugrzeczniona, z zaróżowionemi zlekka powiekami.

Być może, czytelnicy pomyślą, żem b. młoda, skoro w ten sposób prowokuję taktykę jaskiniowców. Ale cokolwiek ogół kobiet może myśleć o zastosowaniu »jaskiniowości«, niemniej jednak sam wniosek odczują jako coś w gruncie rzeczy pochlebnego. Piosenka Beatryczy Lillie, w jednem z wydań »Charlot's Revue«, którego motyw przewodni wyraża się w zdaniu: »Pragnę Męża, któryby Mnie Bijał«, nie jest pozbawiony filozoficznej racji, wypływającej z psychiki kobiet.

Ale proszę mi pozwolić raz jeszcze zaznaczyć, że odczułabym głęboko pierwsze symptomaty przekroczenia przez mężczyznę pewnych granic zakreślonych jego męskim prerogatywom przez subtelne poczucie godności i taktu.

Jego wierność i zupełne do mnie zaufanie musiałyby być ostatnią cenną cechą człowieka, którego życie pozbawiło wielu rzeczy, niegdyś dlań bezcennych. Nasze małżeństwo nie opierałoby się na względach ekonomji, wygody, ani też nie mogłoby się oprzeć na czysto fizycznej miłości. Dwa pierwsze względy nie grają w mych oczach żadnej roli, ostatni zaś za mało cenię, by go kupić za tak wielką cenę, jak małżeństwo. Jego umysł byłby przenikliwszy i głębszy niż mój, bardziej wydyscyplinowany i surowiej krytyczny w stosunku do książek, idei i ludzi. Nadewszystko nasze małżeństwo byłoby związkiem, mającym swe źródło w poczuciu braku, ale braku przechodzącego poza wszelkie granice fizyczne i umysłowe; braku, tkwiącego korzeniami w samych zaczątkach ludzkości, braku nie mającego innej nazwy prócz Samotności.

On byłby samotny i ja byłabym samotna, ale w tej obustronnej o sobie wiedzy tkwiłoby wielkie ciepło. Byłby moim wielkim przyjacielem. Moglibyśmy stać razem na deszczu i wichrze, w mroczną noc, na pokładzie promu, dobijającego do przystani, on z 25 centami w kieszeni, a ja z dziesięcioma.

I mogłabym powiedzieć szeptem: »Pewnego dnia przepłyniemy La Manche«.

A onby odpowiedział: »Nie — przepłyniemy go pewnej nocy«.

To byłby właśnie taki człowiek. *Marta Ostenso*

SPLENDID ISOLATION

O czwartej jeszcze miasto było zwyczajne: po domach trawiono chleb powszedni. Policjant na skrzyżowaniu ulic podnosił rękę, to do góry, to w bok — jak pan, który dla konkokcji odrabia »dziecinnego Müllera«. Ledwie po obiedzie obtarłszy usta, skauci biegli wyczyniać swoją magję; auta, z arogancji podobne do gęsiorów, napastowały ludzi — wszystkie rzeczy kopjowały naiwnie dzień wczorajszy, który był ich starszym bratem.

Dopiero w godzinie, kiedy u Lursa zaczyna brakować stolików, wiadome się stało, że wieczór będzie nowy, do niczego w życiu niepodobny — chyba do filmu z pomylonym końcem.

Na placu Zamkowym — zamiast przewozić kamjonetką kawę Plutos, zlewać magistrackim wężem cieliste i szare pończochy, zamiast ściskać się w spelunce na rogu i stać na warcie przed Senatorską Bramą, zamiast robić to wszystko — strzelano.

Jeden oddział zagospodarował się u wylotu Zjazdu i szczuł mitraljezy na kolumnę Zygmunta, drugi — z takuteńkim porucznikiem na czele — jeżył sierć między Kupcem a płócienną werandą.

Jednocześnie mnóstwo okoliczności niezwykłych zaszło w koszarach, na dworcach, w niektórych urzędach, i w wielu rodzinach. I zecerzy — zezowaci z pośpiechu — zaczęli składać dodatki.

Zaraz też na Nowym Świecie przechodniom przestało być pilno: ustawili się w szpaler, czekali, roztrząsając sprawy publiczne.

Tym trybem nadeszła siódma.

Był to czas, w którym Poluś — z ręcznikiem na szyi i z panną Marją na piętach — zwykł wkraczać do łazienki. Jakoż — w chwili dla stu oficerów zwycięskiej, dla stu innych śmiertelnej — zanurzył prawą rękę w miednicy, stwierdzając:

— Nie zimne — dobre; ale żaby chcem.

Panna Marja pobiegła po żabę z celluloidu.

Pokoje były od frontu. Jednak Polo zasnął przy otwartym balkonie, bo ludzie zwaśnieni nie strzelali jeszcze na Polowej ulicy. Niebawem wpadł ojciec. Balkon zamknięto i rodzice patrzyli, z twarzami, przylepionemi do szyb.

Oddział, który o szóstej mierzył w stronę Zjazdu z pod płóciennej werandy, sunął teraz raczym sposobem. O dwie długości bagnetu następował nań oddział z pod mostu. Szli powoli, rytmicznie, jak gdyby w tanecznych przed sobą pokłonach — bacząc z pilnością, kto pierwszy naruszy kadencję, z której strony pierwej zniecierpliwi się palec, zaczepiony o cyngiel.

Pod ścianami domów — niczem dwie smugi za płynącym okrętem — ciągnęli się gapie.

Wreszcie padł ten przekrwiony strzał.

Wprost okien złamały się rozpląsane szeregi, gapie wsiąkli po bramach; zamęt trysnął na miejscu gieometrycznej figury. Gęsto, gęściutko trzeszczały karabiny — rewolucja podeszła pod dom.

Przylepione do szyby twarze rodziców zaostrzyły się, jak maski aktorskie.

(Pan żuł wczorajsze słowa, które już nigdy nie będą potrzebne; pani pięścią tłukła w parapet.)

W bukiet djabelskiego wesela zawiązała się strzelanina, wieczór — od tysiąca grotów, wbitych w jego ciało — zesztywniał. Niewidoczne kule pędziły, trzeszcząc, jak pękające, zdrowe jagody.

Wtedy Poluś stanął na łóżku, w nocnej długiej koszuli, i — nie otwierając oczu — wygłosił:

— Nie wolno wrzescyć tak! Chcem cicho.

Natychmiast rodzice rzucili się ku dziecku. Wyniesiono je w głąb mieszkania tak, jak się wynosi z kajuty na górny pokład najcenniejszą walizę w czasie sztormu.

Nazajutrz Polo wstał czerwony z wyspania i okrągłem okiem przyjął widok nowego porządku. Naprzeciw łóżka bowiem, zamiast fryzu z gąskami, sterczała serwantka. Po pacierzu niewolno było na balkon, skąd zawsze rano ogląda się pogodę.

Pijąc kakao z biszkoptami, marszczył nos, ilekroć w Alejach buchnęła armata. Po śniadaniu rozstawił na stole żołnierzy i sam również haubice rychtował. Blat stołu drżał przy każdej eksplozji: ołowiane pułki (zwłaszcza kawalerja na wąziutkich podstawkach) kładły się pokotem, zanim groszek zdążył z blaszanej gardzieli wyskoczyć. To sprzykrzyło się wkrótce. Poluś konnicę wsadził do tramwaju, uwiązał sznurek do przedniej platformy i — tupiąc głośno — powiózł nerwowe zastępy pod łóżko.

— Teraz oni bendom krówki a ja bende wujek, i soli przyniosę.

Ale w stołowym pokoju okno zabite było materacem — paliła się elektryczność. Polo — ze zmąconem samopoczuciem — bezradny stanął w progu. Poczem zawołał:

— Mamo, czy to już zaraz kaszka?

Nie słysząc odpowiedzi, odszukał kajet, bo rysowanie przepisane było na »przedkolacją«. Zsunąwszy brwi, zaczął ołówkiem kotłować dymek, do którego później dorobi się komin i pałac. Nagle matka wpadła, porwała na ręce — za materacem szyba brzęknęła, podskoczył hałaśliwie żyrandol i szklanki w kredensie zadzwoniły ząbkami.

W drugim pokoju znowu wróciło się rano: dywanik ze słońcem leżał na poprzedniem miejscu, lampa była biała — nie żółta, jak bywa wieczorem. Najwyraźniej sama pora na spacer. Poluś ciągnąc oburącz za fartuch (czy nie popuszczą zatrzaski...), ruszył na zwiady: gdzie Marja? i kto go wreszcie przebierze?

Mama nic wcale nie rozumiała: ani jak się grzecznie mówiło, ani krzyku z tupaniem. Tatuś — zamknięty w salonie — do siebie nie puszczał. Marja znikła; a Teofila siedziała w łazience: pewnie dla wszystkich dziś będą kąpiele.

Poluś zezłościł się raptem tak, że chętnie rozgryzłby Misia i nogami na śmierć zadeptał podłogę. Złapał drewniany pistolet — strzelił korkiem prosto w mamę, wiszącą nad łóżkiem.

— Obrzydliwica!! Potem będzie za późno na spacer!

Bardzo łomotali do drzwi; i ktoś w przedpokoju wrzeszczał. Napęczniały z gniewu, Polo poszedł zobaczyć. Jeden obcy pan wołał:

— Zamknąć balkon! Cóż — do jasnej cholery — strzelać stale chcecie do ludu?! Co?!...

Mama mówiła cicho, tatuś ramionami wzruszał. Więc naturalnie Polo zaraz wytłumaczył:

— Wcale nie do jasnej cholery ja chcem — tylko strzeliłem do mamy, bo zaraz już będzie obiad. Po obiedzie Magda nie chodzi do parku!

Obiad był bardzo dobry: zupy zapomnieli dać, na mięso — same jajka, i czekolada — na deser.

Później mama przebrała nareszcie; i — bez leżenia — miał być teraz spacer.

Teofila wyszła z łazienki; obie z mamą wzięły za ręce, sprowadzały kuchennemi schodami. Nie poszło się na ulicę — nie. W drugą bramę, za którą jest garaż. Znajomy szofer otworzył, minęli szereg śpiących samochodów i przez malutkie drzwiczki wydostali się na plac, ogrodzony murem.

Leżały tam jakieś deski, słońce, trawka w żółte i w różowe kropki. Szofer powiedział:

— Tu jest zupełnie bezpiecznie. Strzelają tylko od ulicy. Kula tu nawet nie doleci.

Polo znalazł między deskami płaskie drewienko, więc przysiadł do kopania studni. Potem przyszedł synek szofera: miał sznur, i bawiono się w konie. Nowy Jasio — to nie była Magda, ale kto wie, czy nie lepiej nawet rżał i brykał.

Słońce już dobrze zrudziało, kiedy mama kazała wracać. Znowu przez sypialnię aut.

Na podwórku wiele ludzi stało koło stróżówki. Jedni — schyleni — patrzyli w ziemię, inni wspinali się na palce. Raptem jakaś pani porozpychała i długich i króciutkich. Sama upadła na kolana. I wtenczas się pokazało, że tam leży pan, cały pochlapany, z krzywemi ustami. Jęczy; a z oka cieknie mu krew i krew.

Ta pani bardzo brzydko krzyczała: »Jędrusiu!« Wyszarpnęła ze swetra chusteczkę i krew rozmazywała po twarzy leżącego pana.

Mama pociągnęła ku schodom, więc Polek z przyjemnością przestał oglądać te rzeczy niepotrzebne.

Sunąc dłoń po drewnianej poręczy, układał sobie, co powiedzieć Magdzie. Więc tak: »Umie także hauczyć! Jego naimię jest Jasio. Były deski i mama dała mu złamany biszkopt«.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Rewolucja trwała trzy dni.

Polo zaprzyjaźnił się z Jasiem i bardzo polubił jaja z czekoladą.

Czwartego dnia rannych schowano do szpitali, wyjechały prawdziwe tramwaje, z obłupanych domów wyszli do biura doskonale uprasowani panowie.

Ale wielka zwada nie spłynęła z krwią. Mężowie stanu zasiedli na ponure konsyljum: nie wiadomo było, czy kryzys nie wypadnie śmiertelny.

Do Polusia wróciła Marja. Zabrawszy beczkę o jednem kole, stateczny woziwoda wreszcie pokroczył w Aleje. Przy rogu Pięknej spotkali Magdę. Ona także szła powoli: niosła chore dziecko-lalkę, której zginęła peruka. Przywitali się, zafrasowani; poszli dalej razem — Polo, szukający koła do pary, i zgubiona matka — Magdusia.

Marja Kuncewiczowa



OPOWIEŚĆ KARNAWAŁOWA

PRZYGODA, jaką przed dwoma laty miał rachmistrz magistracki Konstanty Wart, była w zasadzie tak nieprawdopodobna, że wszyscy jednogłośnie uznaliśmy ją za wytwór rozigranej wyobraźni.

Jak rzecz się miała naprawdę, tego nie wiemy, faktem jest jednak to, że w krytyczną noc koło godziny czwartej pogotowie odwiozło Warta do domu w stanie opłakanym: ze złamaną ręką i mocno potłuczoną głową. Gospodyni swojej stary rachmistrz oznajmił, że uległ wypadkowi, wyskakując z tramwaju.

Kiedy, zwabiony echem wypadku, odwiedziłem pana Konstantego, odrazum zauważył w jego twarzy jeszcze żywe piętno przerażenia. Zacinając się, z oczyma chorobliwie rozszerzonemi, Wart opowiedział mi półgłosem dzieje swojej przygody. W ową pamiętną noc wracał z dyżuru w biurze i na zakręcie ulicy wskoczył do toczącego się tramwaju. Znalazłszy się w wagonie, zajął bodajże jedyne wolne miejsce i sennie jął rozglądać się po publiczności. Już na wstępie zdziwiło go, że tramwaj pędzi z karygodną szybkością, nie zatrzymując się na przystankach. Potem nowe zdziwienie. Oto zbliżył się konduktor z szarą, niczem ziemia, twarzą i, spojrzawszy rachmistrzowi w oczy, drewnianym głosem rzekł:

— Ah, to pan... O ile wiem, pan nigdy nie wychylał się poza obręb miasta?

— Nigdy — bąknął zakłopotany staruszek. — Ale co to ma do rzeczy?

— A to ma do rzeczy, że od pana nic się nie należy.

Wtedy to zdziwionego Warta zastanowił szczególny bezwład obecnych w tramwaju osób, a mianowicie poddawanie się ich ciał każdemu wstrząsowi wagonu, jakby ciała te wykonane były z materji nieżywej. Dalszy, baczniejszy rzut oka naprowadził go na nowe odkrycie. Tym razem, przyjrzawszy się twarzom, rachmistrz stwierdził, że zupełnie pozbawione są tej treści psychicznej, którą zwiemy wyrazem. Łączyło je zatem, mimo duże różnice kształtu, takie przykre jakieś podobieństwo, iż Wart poczuł w sobie dreszcz bezprzedmiotowego niepokoju. Wstał przeto pośpiesznie, by wyskoczyć na jezdnię, ale zauważył, że wóz toczy się z taką szybkością, iż o wykonaniu zamiaru mowy być nie mogło.

— Jesteśmy za miastem — stwierdził rachmistrz, a lęk jego i zdziwienie jeszcze się wzmogły, gdy zadał sobie pytanie, skąd się tu wzięła linja, po której, zdala przecież od miasta, mknie szalona maszyna? Nie nastręczającą wątpliwości odpowiedź dał mu cichy, bezszumny, zupełnie pozbawiony wstrząśnień ruch wagonu, i to, że światła, które potem ujrzał, świeciły w dole. Najoczywiściej podróż odbywała się wysoko ponad powierzchnią ziemi.

Gdy teraz rachmistrz rozejrzał się po wagonie, ujrzał podróżnych, stłoczonych wzdłuż okien. Ubodzy starcy, baby spłowiałe, chude i obdarte dzieci z oznakami nędzy i choroby, jakiś urzędnik, o dziwo! w uniformie rosyjskim — wszyscy, milcząc, bez zaciekawienia patrzyli w czerniejącą za szybami noc.

— Później, drogi panie — spłoszonym szeptem zwierzał mi się Wart — później z nocy wpadliśmy w pełny dzień. Z krajobrazu łatwo mogłem się przekonać, że lecimy nad Ameryką... Miasta, góry, stepy, rzeki, potem znów otchłań wód i znowu noc... Opadliśmy wreszcie na szyny, rozległ się zbawczy turkot kół, a na poziomie okien błysnęły światła. Poznałem Warszawę. W obawie przed dalszym ciągiem przejażdżki, wyskoczyłem na bruk.

Westchnął, rozpacznie wzruszając ramionami:

— Dziwy, dziwy! Cała ta podróż, wyobraź pan sobie, trwała nie dłużej, niż godzinę...

— »Stary musiał nie tylko oczytać się Grabińskiego, ale ponadto w tę noc nadużył alkoholu« — orzekłem po wyjściu od rachmistrza.

Mniej więcej po roku, kiedym z kolegą wracał od znajomych z libacji, mieliśmy właśnie na placu Zbawiciela wskoczyć do przejeżdżającego tramwaju, gdy nagle alarmującym okrzykiem powstrzymał nas zawiadowca stacji.



— Byle nie do tego — rzekł, z wytężeniem przyglądając się zarysom wozu, który, minąwszy stację, z niezwykłą szybkością pędził ku Saskiemu Ogrogowi. — Linja S — oznajmił, w zamyśleniu ssąc fajkę.

— Służbowa? — pytam, trochę zmieszany udzieloną mi uwagą.

— Bogaćtam służbowy. »S« — nibyto od nazwy »siedzik«, którą tramwajarze nadali pasażerom tej linji. — Siedziki, panie, to ludzie, którym nigdy nie zdarzyło się wyjść poza rogatki Warszawy, z bidy, panie, lub z choroby. Możeby w końcu i zobaczyli kawałek przestrzeni, gdyby nie śmierć, panie, która ich zabrała, ze szpitalów, z więzień, z przytułków.

— Jakto: śmierć? — zdziwił się mój kolega, robiąc do mnie oko. — Przecież pan chyba nie będzie starał się nas przekonać, że...

Zawiadowca obojętnie czochał się o drzwi swojej budki.

— Ja tam, panie, nie wiem — mruknął, i wetknął na chwilę głowę w kołnierz futra, by zapalić fajkę. — Wśród tramwajarzy chodzi taka gadka, że po śmierci siedziki, zebrane z Powązek, a przedewszystkiem z Brudna, i Bóg raczy wiedzieć jeszcze skąd, niby w nagrodę za to, że żywej nie widzieli ziemi, odbywają partjami podróż naokoło świata. Wagon tej linji, obiegłszy kulę ziemską, wraca od innej strony miasta, podróżnych swoich odwozi na miejsce wiecznego ich spoczynku, i znika... Nasi tramwajarze mówią, że jeżeliby żywy człowiek przypadkiem do takiego wlazł wagonu... — To co? przerywam z kpiącym uśmiechem, choć na plecach czuję zimny ciąg.

Zawiadowca zakrył ciemną twarz kłębem dymu, splunął i, cofając się do swej budy, rzucił ostrzegawczo:

— To z takiego pechowca, panie, już nic w życiu nie będzie.

Przed oczyma memi stanął Wart, który do tego czasu nie opuszczał był łóżka i który literalnie ginął w mękach bezsenności. Ponadto zaniemówił. Gaśnie, do niczego już nie zdolny, jeniec przerażeń i majaków.

Znów upłynął rok, w ciągu którego nie zaszło nic, coby mogło ożywić w pamięci zdarzenie Konstantego Warta, oraz rozmowę z zawiadowcą stacji tramwajów.

Przed dwoma atoli tygodniami, nocą, po skończeniu zajęć w redakcji, wskoczyłem do pierwszego, jaki mi się nadarzył, tramwaju z zamiarem odwiedzenia znajomków, u których w tę właśnie noc odbywała się uczta. O, melancholjo karnawałowego pieczeniarstwa, gdy jedyna posiadana dwuzłotówka starczyć może tylko na elektryczną lokomocję, na stróża i mizerne honorarjum dla pokojowej! Młodzieńczy wskok do wagonu wykonać mogłem o tyle bez ryzyka, że wagon z powodu nocnej naprawy linji toczył się stosunkowo powoli. Ledwom atoli znalazł się na pomoście rozkiełznały się motory i ostro ruszyliśmy naprzód.

Padał suchy i drobny śnieg, dął wiatr, stójka na pomoście rychło mi się sprzykrzyła, to też wszedłem do wagonu. Jeszcze, gdym był na ulicy, zwróciło mą uwagę słabe oświetlenie wozu, i zasłony na oknach, na których majaczyły wątłe sylwety.

Zaledwiem zdążył wejść do wagonu i zamknąć za sobą drzwi, gdy nagle poczułem instynktowną potrzebę wycofania się na pomost. Ręka moja, której jeszcze nie oderwałem od klamki, silnym ruchem usiłowała rozewrzeć zatrzaśnięte drzwi. Podczas tej krótkiej walki z zamkiem, trochę już zawstydzony ujawnionym pędem do ucieczki, rozglądałem się po wnętrzu. W słabem świetle jednej tylko, i to przepalonej żarówki, ujrzałem osobliwe jakieś towarzystwo, złożone z kilkunastu jakoś głupio porozmieszczanych osób. Grupa tak niezwykła pod względem stroju, wyrazu i gestu, tak groteskowa, jako niespodzianka, że zdziwienie moje miało już się stać ciekawością, gdy oto jedna z postaci w masce na twarzy, w czarnym trójgraniastym kapeluszu, usadowiona na skraju ławki, zsunęła się na podłogę. Fakt ten, bądź co bądź intrygujący, w niczem nie zmienił zachowania się obecnych, którzy trwali w poprzedniej pozycji, sztywno półsiedzącej, biernie poddając się wstrząsom wozu.

Wtedy to odniosłem nagłe wrażenie, że tło sytuacji i samo towarzystwo są mi już skądciś znane. Ale skąd? Ze snu czy też z opowieści, gdzieś kiedyś zasłyszanej?

Chłód w okolicach serca i słabość w nogach były natychmiastową reakcją na znalezioną odpowiedź. Prawda: Konstanty Wart! Linja S!

Jeszcze jedno, już szczerze przerażone spojrzenie... Podróżni pustemi oczyma nadal patrzyli w nieuchwytnym kierunku. W obliczach ich, nieruchomo poważnych lub bezdusznie uśmiechniętych, nie było ani odrobiny światła, jakiem od wewnątrz przebija życie.

Następne spojrzenie posłałem przez szybę drzwi, jedyną, której nie zasłaniała stora. Bez zbytniego natężenia uwagi mogłem stwierdzić, że jesteśmy koło hal za Żelazną bramą. Minąwszy łuki zakrętów, tramwaj wpadł na Chłodną, rozwijając szybkość oszałamiającą. Za chwilę przeto znajdziemy się poza obrębem miasta i wóz wzbije się w powietrze, na straszliwy lot dookoła.

Ogarnięty trwogą, oburącz walczę z zamkniętemi drzwiami. Jak długo trwały moje rozpaczliwe wysiłki, tego nie wiem, ale kiedy nareszcie zgrzytnął zerwany zamek, byliśmy już na Wolskiej, w pobliżu rogatek...

Ah, te rogatki! Oszalały strach mówił mi, że tu kończy się wszelka możność ratunku. Jeżeli je minę, to czeka mię albo śmierć, albo też w najlepszym razie okropny los Konstantego Warta. Ale tramwaj nie tylko nie zwalnia biegu, ale już jakgdyby odrywa się od ziemi. Jeszcze mgnienie oka, a porwie mię w wir doznawań, których należąca jeszcze do życia istota nie zdzierży...

To też bez chwili wahania wyskakuję. Przez sekundę wiszę w powietrzu, potem padam nawznak. Musiałem jednak wydać ostry krzyk, bo rozpędzony wagon zgrzytnął zNienacka hamulcami i zatrzymał się, mnie zaś otoczyło kilku zajętych przy naprawie toru robotników tramwajowych. Jednocześnie zjawił się też i policjant, srodze znudzony nocnem czuwaniem na posterunku.

— Skąd pan się wziął w moim wagonie? — pytał tramwajarz z mosiężną kolbą w ręku, snać ten sam, który mię wiózł.

Poczułem nieopisaną radość obcowania z żywymi ludźmi; leżąc jeszcze, tłumaczę się z uśmiechem, niemal że rozrzewnienia:

— Tam siedziki... Linja »S«...

Przedstawiciel władzy chwieje dostojnie głową, nic widocznie nie rozumiejąc. Jednakowo słowa moje osobliwie podziałały na robociarzy, którzy, z pewnym lękiem zerknąwszy ku ciemnemu wagonowi, pytający wzrok skierowali z kolei ku motorniczemu. Ten łypał wybałuszonemi oczyma, dziwował się sobie, że jeszcze nie wie, o co chodzi, aż dopiero po dłuższej chwili zarechotał:

— Siedziki? Hihihi! Ale też ładnego musiał się pan najeść pietra! Siedziki! A to ci tęgi wyszedł kawał!

Zwracając się do audytorjum, wesoło wyjaśniał:

— Na bal tramwajarzy, na Młynarską wiozę ci z teatru dwanaście kukieł. Kazali mi się panowie śpieszyć, bo pod koniec zabawy te moje siedziki wypchane... hihihi... mają pono zasiąść w bufecie, jak żywe, i bawić naszych balowników.

Trysnął nademną chóralny śmiech. Wsparci na szpadlach robotnicy trzęśli się w przystępie wesołości. Tramwaj z koszmarnym ładunkiem ruszył był już w dalszą drogę, gdy ciężko podnosiłem się z bruku, by wykonać wstydliwy odwrót ku śródmieściu. Stłuczone biodro bolało nieznośnie, zgnieciony melonik i odzież wyglądały nader podejrzanie. Na szczęście nadarzyła się jakaś drynda. Ostatnie dwa złote, ów fundusz reprezentacyjny, przeznaczony na karnawałowe wydatki dzisiejszej nocy, pomyślnie rozwiązuje sprawę powrotu do domu.

Już mam wejść do dorożki, już postawiłem nogę na stopniu, gdy oto granatowy człowiek w kasku łagodnie wciska mi w garść kartkę z napisem: »mandat karny«.

— Za wyskoczenie z tramwaju dwa złote, rzekł, salutując z perfidną uprzejmością.

Wacław Filochowski



PRZEGLĄD KSIĄŻEK

Bibljoteka Słowiańska. JERZY WOLKER: Gość w domu. Przekład autoryzowany KAZIMIERY i STANISŁAWA ALBERTI. 51 str. Nakł. F. Hoesicka. W-wa 1927.
Szereg rzewnych, delikatnych, krwią serdeczną pisanych poezyj młodo zmarłego liryka czeskiego. „O miłość prosimy, ludzie boży; otwórzcie serca! — wiersz ten mógłby być mottem całego zbiorku. Nie znając oryginału, nie możemy ocenić przekładu z punktu widzenia jego wierności; zaznaczamy natomiast, że jest on wybitnie piękny. Skreślony przez tłumaczów wstęp znajomi nas z życiem i twórczością Wolkera.

ANTONI SŁONIMSKI: O dzieciach, warjatach i grafomanach. 156 str. Nakł. »Bibljoteki Groszowej«, Warszawa.
Znany z ciętego dowcipu poeta i recenzent teatralny daje nam w tej książce kilkanaście fejletonów, pisanych przeważnie z niemałem zacięciem satyrycznem. W swej humorystyce unika Słonimski komizmu sytuacyjnego, uprawiając niemal wyłącznie słowny, w czem niejednokrotnie osiąga efekty naprawdę mistrzowskie.

FERDYNAND ANTONI OSSENDOWSKI: Wśród Czarnych. 253 str. Z portretem autora, mapką i ilustracjami. Zakład Nar. im. Ossolińskich, 1927.
Najbardziej wsławiony z żyjących podróżników polskich, w żywy i ciekawy sposób kreśli tu swe wrażenia z podróży do Afryki. Oto tytuły rozdziałów: Cel wyprawy. Od Warszawy do Afryki podzwrotnikowej. W dolnej Gwinei, Senegalu i Gambji. Czarne rasy. W górach Futa-Dżalon. Ku Granicy Sudanu. Niger, kraj paradoksów. W pełnej Brussie. Przez Sudan do Wysokiej Wolty. Na trzech Woltach. Wybrzeże kości słoniowej. Polowanie na bawoły. Fetyszyzm, totemizm, ludożerstwo, nekrofagja. Polityczna ideologja murzynów i mulatów. W pościgu za słoniami. Na hipopotamy! Biały człowiek w Afryce. Dżungla. Do Europy! Pamięci Lady Stanley. — Nadmienić wypada, że pisarz franc. Andrzej Gide wywiózł ze swej niedawnej podróży do Afryki wrażenia o wiele mniej pochlebne dla kolonjalnych metod francuskich, aniżeli p. Ossendowski.

ZYGMUNT KISIELEWSKI: Poranek. Powieść. 187 str. Gebethner i Wolff, 1927.
Dzieje ponurego dzieciństwa i wczesnej młodości Zdzisia. Śmierć matki, brutalne okrucieństwo ojca, budzenie się zmysłów, pierwsza wiośniana miłość, szkoły, polityka, praca w konspiracji — oto obrazy, które autor roztacza przed naszemi oczami. Rzecz czyta się łatwo i z zajęciem.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: Przysięga. Powieść. 233 str. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1927.
Na tło politycznej działalności Polaków w Paryżu bezpośrednio po wojnie światowej rzuca autor dzieje kobiety głęboko religijnej, jej nieszczęśliwego małżeństwa i »niedozwolonej« miłości. Czy wolno — chociażby za zgodą osób zainteresowanych złamać przysięgę, daną Bogu? Konflikt ten, nader aktualny w naszej dobie coraz częstszych rozwodów — przeprowadza autor w sposób psychologicznie bardzo zajmujący. Galerja dobrze zaobserwowanych typów. Język nieco bezbarwny.

MIECZYSŁAW OPAŁEK: Kosodrzewina. 47 str. Z portretem autora. Nakł. »Lwowskich Wiadomości Muzycznych i Literackich«, 1927.
Cykl poezyj tatrzańskich, pisanych wierszem potoczystym, czasem aż nazbyt potoczystym, z ujmą dla zwartości natchnienia. Trzeźwa obserwacja. Wiele trafnych i jędrnych zwrotów. Naogół jednak organizacja raczej malarska niż poetycka.

Bibljoteka Beletrystyczna. DONN BYRNE: Messer Marco Polo. Przekład STANISŁAWY KUSZELEWSKIEJ. 142 str. Mortkowicz, 1927.
Dawno już nie czytałem tak czarownie poetycznej, tak pastelowej i filigranowej książki — książki »z bambusów, turkusów i snów«. Stary Malachi opowiada o słynnym podróżniku Marco Polo; snuje opowieść nieprawdziwą, lecz od prawdziwych prawdziwszą; baje nam o tem, co mogło się było Marco Polowi przygodzić. ...Oto Marco zakochał się w malutkiej, przesłodkiej księżniczce chińskiej, Złotej Strunce; dąży ku niej poprzez puszcze i pustynie; zaczem spędza w mądrych Chinach najcudniejsze i najsmutniejsze zawraz lata życia... Opowiedziane to wszystko jakoś nierealnie, klechdowo, tęsknie a upojnie... Magję tej ślicznej książki wzmaga jeszcze wręcz doskonały*) przekład p. Kuszelewskiej.

Bibljoteka Beletrystyczna. KAROL DICKENS: Dawid Copperfield. Przekład KAR. BEYL. Tom I. 170 str. Mortkowicz. Warszawa, 1927.
Wzmagające się u nas zainteresowanie Dickensem jest to objaw bardzo dodatni. O książce damy notatkę po ukazaniu się całości.

WACŁAW MILESKI: Polska filozofja narodowa. Cykl 24 prelekcyj, wygłoszonych przed mikrofonem »Polskiego Radja«, w Warszawie. 288 str. Skład główny »Dom Książki Polskiej«, W-wa, 1927.
Mową ozdobną, w sposób — o ile to możliwe — popularny, znajomi nas prof. Mileski z przedziwnie jednolitemi doktrynami myślicieli polskich, pierwszorzędny kładąc nacisk na filozofje Hoene-Wrońskiego. Jeżeli nie z każdem jego ujęciem możemy się zgodzić (zwłaszcza jego pojmowanie »elementu-wiedzy« u Wrońskiego nasuwa nam pewne wątpliwości), to niemniej przeto z najszczerszem uznaniem i wdzięcznością witamy jego piękną, odważną i głęboko przemyślaną pracę, godną jak najszerszego rozpowszechnienia. Radosną dumą napawa nas również, że wśród radjosłuchaczy naszych znalazlo się aż tysiąc zgórą osób, interesujących się rzeczami tak bardzo dalekiemi od dolarów, foot-ballu i jazz-bandu.

KORNEL MAKUSZYŃSKI: Awantury arabskie. 220 str. Gebethner i Wolff, 1927.
Nowe wydanie jednej z najlepszych książek humorystycznych Kornela Makuszyńskiego. Całkowicie utrzymana w stylu pierwszego okresu jego twórczości. Na ten przemiły tom składają się następujące opowieści: Ósma podróż żeglarza Sindbada; O szlachetnej dziewicy i koniu; Morderstwo Harun Al Raszyda; Hassan i jego pięć żon; Mędrzec z za morza; Ostatni Centaur; Z nowych dni; Złotowłosa dziewczyna.

MACIEJ WIERZBIŃSKI: Wolność. Powieść z czasów odrodzenia Wielkopolskl. 498 str. Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu.
Obszerna ta powieść osnuta jest na tle przeżyć Wielkopolski, głównie Poznańskiego — w dobie odzyskania niepodległości. Na tej pierwszoplanowej kanwie politycznej dzierga autor prywatne dzieje sercowe swych bohaterów.

MACIEJ WIERZBIŃSKI: Wielka gra. Powieść. 337 str. Gebethner i Wolff, W-wa, 1927.
Barwne perypetje człowieka najniższej »kondycji« socjalnej, który, wyjechawszy z Polski, w środowiskach zagranicznych gra z niemałem powodzeniem rolę arystokraty i bogacza.

ZOFJA NAŁKOWSKA: Romans Teresy Hennert. Powieść. 230 str. Wydanie drugie II. Gebethner i Wolff. Warszawa 1927.
Nowe wydanie znakomitej powojennej powieści Zofji Rygier-Nałkowskiej jest niezawodną wskazówką, iż powódź literackiej tandety rodzimej i tłumaczonej nie zdołała jeszcze zabić w czytelniku polskim upodobania do literatury we wzniosłem tego słowa znaczeniu.

Dobre książki dla młodzieży. tt. IX—XI. Dr ERNEST CANDEZE: Przygody świerszcza. Z francuskiego przełożyła i uwagami opatrzyła Dr W. HABERKANTÓWNA. 3 tomiki. 85, 84, 56 str. J. Mortkowicz. W-wa 1927.
Te bardzo poprawnie i inteligentnie spolszczone przygody, w pierwszej osobie rozpowiedziane przez... świerszcza, w formie zajmującej i nader łatwej znajomią młodego czytelnika z osobliwem a tak ciekawem życiem owadów.

Monografje artystyczne pod redakcją MIECZYSŁAWA TRETERA. Nakład Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 1927.
Tom XI. HENRYK PIĄTKOWSKI: Władysław Czachórski. 24 str. Z 32 reprodukcjami.
Tom XII. SZCZĘSNY RUTKOWSKI: Jacek Mierzejewski. 19 str. Z 32 reprodukcjami.
Tom XIII. WŁADYSŁAW KOZICKI: Henryk Rodakowski. 24 str. Z 32 reprodukcjami.
Tom XIV. KONRAD WINKLER: Formiści polscy. 20 str. Z 32 reprodukcjami.
Tom XV. STEFANJA ZAHORSKA: Eugenjusz Zak. 24 str. Z 32 reprodukcjami.
Dalsze tomiki omówionego już w Świecie Kobiecym, nader pożytecznego wydawnictwa, przynoszą zwięzłe charakterystyki malarzy polskich, skreślone przez najwytrawniejszych znawców, oraz bogate działy wykonanych bez zarzutu reprodukcyj. Poza swą wartością bezwzględną, wydawnictwo to przedstawia pierwszorzędny materjał propagandowy.

M. H. SZPYRKÓWNA: Godzina bije! 190 str. Zakład Nar. im. Ossolińskich. 1927.
Autorka w tonie podniosłym i pełnym pięknego entuzjazmu snuje tu rozważania na najbardziej aktualne tematy, związane z wychowaniem — a zwłaszcza z »samowychowywaniem się« — młodego pokolenia obywateli w odrodzonej Ojczyźnie. Treść: Godzina twojej samodzielności. Ty i twoje dalekie drogi. Płazowaci, czy wyskrzydleni? Głos na szczytach. Praca Wielkiego Rzeźbiarza. Taki, który chciałby cię zjeść. Walka dnia powszedniego. Ciosy wczorajszego bumeranga. Walka z trzema żądłami. »Wyrób polski« i »wyrób angielski«. Czy także okradasz? pomyśl!... Pracowstręt, choroba pańskiej Polski. »Płacę bo chcę być bogatym«. Blizny po cudzie. Partja, która nie chce umrzeć. Bohaterstwo Nieznanego Pracownika. Obywatele Jutra.

---

*) Sądziłbym tylko, że ang. »so long!« należy tłumaczyć: »żegnaj«, a nie: »tak długo«.

TO I OWO

W NAJBLIŻSZYM czasie nakładem firmy Hoesick ukaże się nowy tomik wierszy Kazimiery Alberti, młodej poetki i pisarki o wybitnym talencie i niezwykle wysokiej kulturze artystycznej. Na tomik składają się trzy cykle: »Na małem miasteczku« — »Starsze panny« — »Szumiąca wiola«.

WIECZÓR »KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ«. — Kobietę czasów dzisiejszych charakteryzują nietylko szerokie zainteresowania, ale także wielki rozmach inicjatywy. Jakgdyby w odwecie za całe wieki bierności i zamkniętego życia obejmuje pomysłowość kobieca nietylko dziedziny dotychczas dla niej nieznane, ale i niewyzyskane nawet przez mężczyzn. Przykładów na to jest wiele, a za jeden z nich może być uważany oryginalny pomysł pisma »Kobieta Współczesna« nawiązania bezpośredniego »mówionego« kontaktu z czytelniczkami na specjalnie urządzonym wieczorze literackim.

Wieczór ten odbył się w połowie grudnia w wielkiej sali Filharmonji, pięknie i z prawdziwie kobiecą dbałością o estetykę przybranej. Według zapowiedzi programu szereg literatek i publicystek miał odczytać swe prace zgromadzonej publiczności. Aczkolwiek parę z »gwiazd« zawiodło, to jednak przeczytane utwory dawały doskonałe pojęcie o tem, jakich świetnych sił pisarskich dostarczają obecnie kobiety literaturze i dziennikarstwu. Prelekcje poniekąd programowe wygłosiły pp. red. Wanda Pełczyńska i H. Ceysingerówna. Ciekawemi uwagami na temat samodzielności kobiety jako nowoczesnej sztuki kochania dzieliła się z zebranem audytorjum p. Stanisława Kuszelewska, znana tłumaczka dzieł literatury angielskiej. Doskonały feljeton »mówiony« p. t. »Paradoksy o kobiecie« wygłosiła p. Samotyhowa. Oprócz tego odczytały swe utwory pp. H. Boguszewska, M. Kunceiczowa, K. Muszałówna, a artystki dramatyczne pp. Balcerkiewiczówna, Jarnińska i Solska odczytały utwory Iłłakowiczówny, Marji Dąbrowskiej oraz M. Pawlikowskiej.

Pięknem urozmaiceniem programu były produkcje taneczne p. Haliny Hulanickiej, a bardzo pożądaną atrakcją dla większości (niestety!) zebranych dam — rewja mody. Przedstawiały swe modele firmy: B. Myszkorowski i Zmigryder. Demonstrowano jedynie toalety balowe, a więc najmodniejsze obecnie krynoliny z tafty, tiulu i koronek oraz pięknie drapowane suknie z lamy i weluru.

Cel imprezy — Gwiazdka dla powodzian — podnosił wartość »Wieczoru«, którego dewizą było: *utile cum dulci.* *I. J.*

KRAM ZAMIAST SALONU. — Tempora mutantur et nos mutamus in illis. Czasy się zmieniają...

W życiu kulturalnem Francji a niejednokrotnie i Europy doniosłą rolę w ciągu wieków odgrywały zawsze salony wielkich dam z arystokracji francuskiej. Skupiały one zwykle elitę umysłową i artystyczną, nadawały ton towarzyski całemu krajowi. Mieć salon polityczny lub artystyczny było dumą i wielką umiejętnością jednocześnie. Później, gdy prawdziwie wielkich dam z arystokracji było jakoś coraz mniej, prowadzenie »salonu« stało się ambicją pań z bogatej i arcybogatej burżuazji — ambicją i marzeniem nader często nieosiągalnem.

Życie towarzyskie Francji, zresztą i innych krajów europejskich, stoi obecnie pod znakiem »powojenności«. Salony restauracyjne lub hotelowe w wielu wypadkach zastępują wytworne apartamenty prywatne; dancingi — *five o'clocki* towarzyskie t. zw. dnie przyjęć. Coraz rzadziej bawimy się w domu, coraz częściej idziemy się bawić na miasto — do lokali specjalnie na rozrywki przeznaczonych.

Naogół jakoś mało się na to ludzie uskarżają. Ba, nie brak osób, które do nowego »trybu« życia towarzyskiego wprowadziły jeszcze oryginalniejsze urozmaicenia. Dzieje się to przeważnie w Paryżu. Ostatnio naprz. księżna Murat, pani bardzo współczesna i bogata, bardzo czynna na polu towarzyskiem, interesująca się literaturą i sztuką, autorka niedawno wydanej książki (dość frywolnej zresztą) p. t. »Życie miłosne Katarzyny Wielkiej« — otworzyła sobie kram artystyczny na Quai de l'Horloge. Kramik ten — bo trudno go nazwać poprostu sklepem — nosi źdźiebełko prowokującą a jednocześnie filuterną nazwę »Fermé la nuit« (»Zamknięte w nocy«) i jest pewnego rodzaju księgarnia, wystawą sztuki, do której także można przyjść... na herbatkę.

Współpracowniczce francuskiej »Minerwy« tłumaczy ks. Murat racje swego kroku w ten sposób: »Zawsze lubiłam przyjmować u siebie przyjaciół. Ale salonowy rytuał znudził mi się już dostatecznie. W dodatku marzyłam zawsze o miejscu, w którem będę u siebie, ale skąd — gdy mi na to przyjdzie fantazja — będę mogła opuścić swych gości. A że jeszcze mam wielką pasję dla sztuki... i dla książek...«.

I rzeczywiście w godzinach popołudniowych zbierają się na herbatce w tym nowoczesnym salonie ks. Murat artyści, pisarze, a i zwykli śmiertelnicy także. Tych ostatnich oprócz nowości przyciągają też zapewne gustownie urządzone, pełne obrazów wnętrza, w których czyni honory domu prawdziwa księżna. Czegoż wymagać więcej? *i. j.*

MUSSOLINI O KOBIECIE. — Niemiecka żurnalistka, pani Maria von Senger podaje m. i. takie poglądy Wielkiego *Duce* na ród niewieści:

»Kobieta jest przyjemnym, uroczym nawiasem życia. Nie uważam kobiety za coś niżej stojącego od mężczyzny (co za łaskawość!), ale oczywiste jest, że fizyczna delikatność kobiety musi oddziałać ujemnie i na jej rozwój psychiczny. Dlatego powinna kobieta zostać tem, do czego ją natura przeznaczyła: matką. Pozatem uważam kobietę za zdolną do spełniania wszystkich zadań życiowych mężczyzny, prócz tych które leżą w dziedzinie twórczej aktywności. Na tem polu nigdy kobieta nie sprosta mężczyźnie. Czy kobieta stworzyła kiedykolwiek arcydzieło? Wiem, że Róża Bonheur malowała zwierzęta lepiej od któregokolwiek mężczyzny, ale przecie naśladowała tylko naturę. Nie potrafiłaby np. nigdy namalować zwierzęcia nieznanego (?).

Uznaję oczywiście, że kobiety stworzyły w wszystkich dziedzinach kultury dzieła pełne czaru i polotu, ale jeszcze żadnej rzeźbiarce nie udała się monumentalna grupa, która przewyższałaby dzieła każdego przeciętnego kolegi. W literaturze tworzyły kobiety rzeczy wielkie, a niektóre dowiodły w pisarstwie siły prawie męskiej. Ale jeśli się zważy, jaką przewagę liczebną ma nad nami płeć piękna, wypadnie porównanie z twórczością męską — zwłaszcza jeżeli idzie o dzieła nieprzeciętne — bardzo żałośnie.

Nigdy też nie stworzył mężczyzna arcydzieła, któreby miało swe źródło w tchnieniu kobiety. (Czyżby?!) Kobiety nie powinny zapominać o tem, że jedynym motorem mężczyzny jest jego ambicja. (Bardzo typowe słówko dla Wielkiego *Duce!*) Postępowanie mężczyzny jest absolutnie egoistyczne. Nigdy się nie udało kobiecie wedrzeć w życie myślowe mężczyzny (!!!...?). Naturalnie, bywają wyjątki (a więc przecież!), ale mimo to jest kobieta tylko cudowną rozrywką i to tylko tak długo, dopóki się jej nie bierze poważnie. Jeśli jakaś kobieta jest szczera, musi przyznać, że sama siebie poważnie nie bierze...«

O kobiecie dzisiejszej wyraził się Mussolini m. i.:

»Nowa era kobiecości rozpoczęła się w Ameryce i kobieta włoska, która reprezentowała przed wojną swój własny, specyficzny typ, stara się teraz wszelkiemi sposobami o tę amerykanizację. Ale jej łacińska krew i tradycje uniemożliwiają jej to zarówno fizycznie jak i duchowo«.

Na pytanie, czy mężczyzna bywa w miłości szczery (trochę ogólnikowe zresztą postawienie sprawy) — odpowiedział Wódz: »Zapewne jest mężczyzna, w każdym wypadku zasobna — szczery. Przysięgać kobiecie miłość wieczną — to doprawdy iście męska sprawa. Ale czy może też być coś milszego nad tę rozrywkę w monotonji życia? Czy jest coś piękniejszego nad tę niemal religijną ekstazę pierwszego pocałunku?... Chyba pełne ulgi westchnienie przy ostatnim pocałunku...« kończy pan premjer nieco cynicznie.

»Co do flirtu — to wolno (!) nim się zajmować tylko mężczyznom do lat czterdziestu. Potem muszą (!) inne myśli i inne rozrywki flirt zastąpić. Sport, praca i zmysł rodzinny otworzą wtedy mężczyźnie istotny cel życia«.

»Małżeństwo jest, mimo wszelkich prób reformy, instytucją konieczną dla dobra państwa; jest kontraktem, który musi trwać tak długo, jak długo obie strony żyją. Dopóki ja będę premjerem Włoch — nie będzie w państwie rozwodów«.

— —

Trochę to wszystko apodyktyczne — trochę zarozumiałe — trochę nieuprzejme — ale bardzo efektowne.

Jak zresztą wszystko co płynie z ust Wielkiego Wodza. *jm.*

PANI TYLKO DLA PANÓW I PANI TYLKO DLA PAŃ. — Na ten temat znajdujemy w wytwornym tygodniku niemieckim *»Die Dame«* ciekawy feljeton, który warto w streszczeniu przytoczyć naszym czytelniczkom z tego względu, że przedstawia charakterystykę dwóch typów kobiecych... tak nam znanych i bliskich.

»Pani tylko dla mężczyzn...«. Już od dziecka w domu i szkole niechętnie się odnosi do swego żeńskiego otoczenia. Najgrzeczniejsza i najmilsza jest dla młodego prefekta lub dla kolegów brata. Uczy się aby zbyć, zainteresowań specjalnych naogół nie okazuje. Za to bardzo wcześnie, od najmłodszych lat prawie, uwagę swą skierowuje na męskie otoczenie, z czem się zresztą nie kryje. »Najlepiej bawię się z chłopcami« — oświadcza często. Później, dorósłszy, także unika kobiecego towarzystwa. Cudownie natomiast zgadza się z każdym prawie (młodym!) mężczyzną. Dla jednego jest dobrą koleżanką, dla innego czułą przyjaciółką lub miłą siostrą; w rozmowach swych stara się zawsze podkreślać, że interesuje się właśnie temi przedmiotami, które zajmują jej towarzysza-rozmówcę.

Jako mężatka — pozostaje zwykle nadal kobietą dla mężczyzn, t. zn. dla innych mężczyzn, a nie — męża... Dziecko, ewentualnie (rzadko) dzieci, traktuje jako pewnego rodzaju... motywy dekoracyjne. Przyjaciółek, rzecz prosta, nie ma; cóż ją obchodzą kobiety i co jej dać mogą, jej, która właściwie jest typem żeńskiego don Juana?

Przeciwstawieniem tej »Pani tylko dla Panów« jest »Pani tylko dla Pań«. Jest to zwykle pełna zalet duchowych kobieta, życzliwa jednakowo dla wszystkich, prosta i nie uznająca zalotności w postępowaniu z mężczyznami.

W domu jest stałem źródłem ożywczej pociechy; w szkole lubią ją wszyscy. W życiu jest typem pewnego rodzaju żeńskiego »człowieka honoru«, wierna, godna zaufania. Kochają ją przedewszystkiem kobiety dla jej zalet serca i często niepowszedniego umysłu. A mężczyźni? Mężczyźni... raczej zwracają się ku pierwszej, ku Pani tylko dla Panów«.

Nic też dziwnego, że Pani drugiego typu często zostaje do końca życia panną. Albo, co gorsze... poślubia gamonia, miast prawdziwego człowieka.

Pełna leciutkiej ironji pesymistycznej jest ta charakterystyka. Ale, pocieszmy się — na dwóch krańcach charakterów kobiecości stoją wyżej opisane typy. Większość z nas jest na stopniach skali, która się między nimi znajduje. *i.*

NOWY FILM POLSKI WE FRANCJI. — Dzięki Towarzystwu Filmów Historycznych i niestrudzonemu wielbicielowi Szopena, pana Edwarda Gauché, który całe życie swe poświęcił zbieraniu pamiątek po wielkim muzyku oraz dał nam jego najdokładniejszą biografję i wiele cennych książek o epoce i o otoczeniu Szopena, powstał nowy film na temat polski w wykonaniu francuskiem.

Treść pochodzi z noweli Henryka Dupuy-Mazuel, przystosowanej do wymagań kinematografu i zrealizowanej przez Henryka Roussell. Szopen, młodziutki chłopiec, dziecko, budzi zachwyt swą grą. Podziwia go rodzina hrabiów Wodzińskich a najbardziej maleńka Marja Wodzińska, podziwia go służba i chłopi okoliczni. Mijają lata. Wybucha Rewolucja w 1830 r. Szopen przybywa do Drezna, gdzie goszczą Wodzińscy. Marja Wodzińska nie ukrywa przed nim swych uczuć, na które on odpowiada cudną muzyką. Ale oto oficerowie polscy, a wśród nich hrabia Skarbek, którzy opowiadają z zapałem dzieje wybuchu Rewolucji. Szopen siada do fortepianu i z opowiadania powstaje Polonez (t. zw. héroïque). Hrabia Skarbek kocha się w Marji Wodzińskiej, lecz młoda dziewczyna, popierana przez matkę, łagodnie lecz stanowczo oznajmia, że Szopen tylko ma prawo do jej serca i ręki. Wielki muzyk czuje wprawdzie, że przyjdzie mu zwalczyć wiele przeszkód, ale wierzy w swą gwiazdę i wyjeżdża do Paryża po jeszcze większą sławę.

W Paryżu poznaje go Georges Sand na wieczorze u hrabiny d'Agoult i stara się oczarować młodzieńca, zmuszając go niejako do odwiezienia jej do domu. Marja Wodzińska lubiła fiołki ~~i~~ obdarzała niemi Szopena. Gdy Georges Sand chce zabrać fiołki, znajdujące się w karetce Szopena, młody muzyk stawia zrazu opór, potem oddaje je z niechęcią, lecz wymawiając się nawałem pracy, żegna niebezpieczną syrenę i odjeżdża do domu. W parę dni potem, gdy Szopen siedzi przy pracy, zjawia się najnieoczekiwaniej Georges Sand i spokojnie instaluje się w jego mieszkaniu, prosząc, aby pracował w jej obecności. Szopen, zdenerwowany, zły, nie wie, co ma robić, gdy nagle wchodzi Antoni Wodziński, brat Marji. Georges Sand zręcznie nadaje swej wizycie pozór miłosnej schadzki, przerwanej przybyciem Wodzińskiego, i ten ostatni wychodzi oburzony, przekonany, że Szopen zdradza zaufanie jego siostry.

Skutki tej omyłki są fatalne. Marja Wodzińska zrozpaczona zgadza się wyjść za hrabiego Skarbka, ku uciesze swej rodziny. Gdy Szopen niespokojny i pełen złych przeczuć przyjeżdża do Drezna w towarzystwie swego przyjaciela muzyka Fontana, trafia na bal z powodu zaręczyn Marji. Cios jest zbyt silny, Szopen wyczerpany, znużony, mdleje, wezwany lekarz konstatuje ciężką nieuleczalną chorobę. Więc choć Marja Wodzińska gotowa jest zerwać z niekochanym narzeczonym, jeśli Szopen oczyści się z zarzutu zdrady, wielki muzyk poświęca się i mimo łez Marji, mimo próśb przyjaciela, woli odejść samotny. Niech »ona« będzie szczęśliwa, gra swój cudny »9-ty walc« (La Valse d'adieu) i odjeżdża. W Paryżu czeka nań ból samotny i czeka pani Georges Sand, która przyjdzie doń jako pocieszycielka.

Wreszcie ostatni obraz: śmierć Szopena, który każe sobie podać kopertę z pamiątkami po Marji Wodzińskiej, kopertę z napisem: »moja bieda«. Delfina Potocka śpiewa przez łzy, Szopen umiera. A gdzieś daleko Marja Wodzińska wymyka się z koła rodziny i błąka żałośnie po pustych pokojach domu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Należy podnieść subtelną wyrafinowaną grę artystów francuskich, o ileż bardziej wykwintną od gry artystów amerykańskich; kostjumy polskie oraz francuskie z epoki 1830 r. były piękne, stylowe, bez zarzutu. Pięknym artystycznie i niezmiernie wytwornym Szopenem był Pierre Blanchar, znany artysta francuski, doskonałą Georges Sand, choć może zbyt ładną, mimo wybornego ucharakteryzowania, panna Germaine Langier z teatru Odeon, wdzięczną Marją Wodzińską panna Mary Bell z Komedji Francuskiej.

Ale najpiękniejszą ozdobą tej premjery filmu w olbrzymiej nowej sali Pleyela była cudna muzyka: znany pianista Walter Rummel odegrał utwory Szopena: 1-e étude, Polonaise (l'héroïque), 13-me prélude, Fantaisie en fa mineur, 9 valse Mazurka posthume i 3-me étude. Najpiękniej wypadły 13-ste preludjum i polonez. Publiczność miała wstęp jedynie za zaproszeniami, lecz olbrzymia sala była szczelnie wypełniona przedstawicielami świata literackiego i artystycznego polskiego i francuskiego.

Dr M. Kasterska

CZARODZIEJSKIE ZWIERCIADŁO. — Wszystko wydaje się proste i łatwe co już jest. Każdy się dziwi, że sam na ten pomysł nie wpadł. A właśnie cała trudność polega na tem, żeby wpaść na dany pomysł.

Oglądałem lustra Mirex, świeżo na cały świat opatentowane i cieszące się już wielkiem u elegantek powodzeniem.

Cóż bardziej prostszego? Lusterko jak każde inne — takie nawet małe, że włożyć je można do wieczorowej torebki. Równie lekkie, równie płaskie jak zwykłe, tylko tem od zwykłego się odróżniające, że składa się z dwóch części ujętych we wspólną, ruchomą ramkę metalową.

Ruchoma ta ramka służy za oparcie, jeśli jedno z luster postawić chcemy — a także pozwala dowolnie oba lustra pod różnemi kątami nachylać. Zależnie od tego, jakie miejsce w danej chwili poddajemy kontroli, manewrujemy odpowiednio naprowadzając lustro w ten sposób, żeby miejsce to odbiło się w drugiem, które mamy przed oczyma. Lustro ustawione w pewnej pozycji pozostaje nieruchome, trzymamy więc tylko jedno, to w które patrzymy, a druga ręka jest swobodna i może poprawić dojrzane braki. W ten prosty sposób, nawet dzięki lusterku mającemu 5,5 X 13 centymetrów, można się najdokładniej oglądnąć z profilu, obejrzeć zarówno tył głowy jak i podbródek, można nawet ogolić kark.

Spełnia ono swe zadanie lepiej niż lustro, składające się z trzech części, środkowej tafli i dwóch bocznych, stale osadzone w ramach, przez to że jest ruchome, że łatwo da się postawić, a następnie jest o wiele lżejsze.

Prócz tego, że lustro to pozwala badać siebie bardzo dokładnie, ma ono tę właściwość, że dzięki pewnym nachyleniom można doskonale widzieć rzeczy i osoby, które są poza naszemi plecami, i czynić to, nie zwracając niczyjej uwagi. Rzecz prosta, że w życiu towarzyskiem mieć to może ogromne znaczenie.

Pierwsze lustra Mirex były bardzo małe, zastosowane jedynie do torebek, obecnie robią je też w większych rozmiarach i używane są szczególnie do podróży. Mechanizm ich i cel jest ten sam, tylko formaty są większe. Lustra te ujęte są w ramy niklowe lub w ramy z drogich metali, odwrotna ich strona oprawna jest w niedrogie gatunki skór lub w skóry fok, różnego rodzaju modnych dziś wężów, w lamy, szyldkret, a nawet kość słoniową. Mają one, o ile to nie są specjalne lusterka do torebek, pochwy zrobione z materjału odpowiedniego do oprawy. Niektóre takie lustra są śliczne.

Ceny ich, jeśli chodzi o najprostsze modele, nie są stosunkowo znacznie wyższe od zwykłych lusterek — oczywista zaś, że *objets de luxe* dostępne są tylko wyjątkowym kieszeniom.

Stefan Przerębski

WIELCY PISARZE I... KOTY. — Najpiękniejszy z naszych zwierząt domowych — miły, a jednocześnie fałszywy i dobrze umiejący zadrapać rękę, która go głaszcze — kotek jest i był uwielbieniem nietylko starych panien i dzieci. To żywe wcielenie gracji — według słów jakiegoś entuzjasty kociej piękności — wśród licznego pocztu swych zagorzałych adoratorów ma także szereg wielkich i sławnych pisarzy, którzy nierzadko cenne swe pióro poświęcali na sławienie zalet bliskiego kuzyna dzikich i drapieżnych tygrysów.

Wielki filozof i pisarz, Hipolit Taine, którego wyłączną dziedziną działalności była stale proza, w swojej spuściźnie literackiej zostawił aż dwanaście sonetów ku czci — że się tak wyrażę — swych kotów. Oprócz Taine'a do wielkiego acz bezimiennego i bezstatutowego stowarzyszenia miłośników kociej piękności należą również Dante, Petrarka, Tasso, bajkopisarz Lafontaine, Montaigne, Rousseau, Chateaubriand, Victor Hugo, Musset, Baudelaire, Merimée, Flaubert, Maupassant, France, Shelley, Walter Scott, Mark Twain... Uff! warto odetchnąć przy tem wyliczaniu.

Doskonałość form i ruchów, a także nieuchwytny i tajemniczy jakiś wdzięk kotów próbowało utrwalić pędzlem wielu malarzy. Z tych malarz japoński Hokusai może być słusznie nazwany prawdziwym kocim portrecistą.

Koty były również obdarzane wielką sympatją przez takie wielkości historyczne jak: prorok Mahomet, papieże Grzegorz Wielki i Leon XII, potężni ministrowie Richelieu i Colbert, a nawet... Lenin.

Nie na tem zapewne koniec kociej sławie. Ani — nie początek, gdyż kto wie, czy w pełnem mistycznej zadumy kociem spojrzeniunie czai się świadomość, że przecież był czas, kiedy jego przodkowie w Egipcie i Sjamie czczeni byli jako zwierzęta boskie... *i.*

RADA NARODOWA W ZURYCHU zastanawiała się nad modną obecnie w Europie kwestją przysposobienia wojskowego. Pewien radny, Niemiec, wystąpił z propozycją, aby dziewczęta od lat 20 do 22 poddać poborowi wraz z oględzinami lekarskiemi, i wcielić na $1/2$ roku do koszar, dając im też przysposobienie do... obowiązków małżeńskich, jak np. sztuka gotowania, szycia i t. p. Koszty tego zaciągu Szwajcarek miałby pokryć do wysokości 50 milj. fr. rząd, a resztę ściągniętoby jako... podatek od kawalerów. (Radny ten, zresztą przegłosowany na Radzie, musi być żonaty!)



PIELĘGNOWANIE TŁUSTEJ CERY



I

STOSUNKOWO częstą wadą kosmetyczną jest tłusta cera, która nadaje twarzy niemile błyszczący wygląd. Zabarwienie skóry pozostawia również wiele do życzenia, jest bowiem przeważnie żółtawo-szarawe, jakgdyby brudne.

Takie nadmierne wydzielanie się tłuszczu pojawia się najczęściej u dziewcząt w wieku rozwojowym i prześladuje je mniej więcej od 14 do 24 roku życia, a niekiedy i do późnego wieku.

Zaburzenie takie w prawidłowych czynnościach skóry jest bezsprzecznie w ścisłym związku z przemianami dokonywającemi się w całym organizmie, w owym niezmiernie ważnym okresie życia.

Pozatem dużą rolę gra wadliwa przemiana materji, nieuporządkowane czynności trawienne, blednica i niektóre cierpienia kobiece. Od rozpoznania, która z tych przypadłości jest przyczyną, zależy rodzaj kuracji.

Tłusta cera usposabia do tworzenia się tak bardzo szpecących i przez panie znienawidzonych wągrów. Są to drobniutkie, gęsto po twarzy, nosie, czole i brodzie rozsiane czarne punkciki, które wypełniają rozszerzone pory gruczołków łojowych. Powstawanie ich przypisują lekarze nadużywaniu kremów i pudrów. Takie zatykanie gruczołków prowadzi zczasem do stanów zapalnych i wyprysków, obejmujących również policzki, nos, czoło, brodę a czasem nawet plecy.

Wygląd tłustej cery jest zmienny, a silniejsze wydzielanie się tłuszcu potęguje się po spożyciu gorących potraw, napojów alkoholowych, kawy i herbaty — pod wpływem gorąca,. nagłych przeskoków temperatury, wysiłków fizycznych i t. p. Czyli wszystko co powoduje kongestje, wzmożony przypływ krwi lub zatamowanie jej obiegu, wzmaga wydzielanie się tłuszczu.

Chorobliwe zaróżowienie skóry, które w początkach jest równomierne i tylko przejściowe, stopniowo prowadzi do stałego zaczerwienienia. Następny okres — to tworzenie się drobnych purpurowych żyłek zagrażających poważnie piękności cery.

Leczenie tłustej cery musi się oprzeć przedewszystkiem na dietetyce. Wszystkie szkodliwe potrawy, napoje, alkohol, ostre i korzenne przyprawy należy zarzucić i zastosować łagodną, lekko-strawną dietę. Unikać trzeba również wszystkiego, co sprowadza gwałtowny przypływ krwi lub jej zastój.

Tak samo szkodliwie działa zbyt wysoka temperatura potraw i płynów, nie wyłączając gorącej herbaty, kawy, czekolady i kakao.

Bardzo ważnym czynnikiem w leczeniu, jakkolwiek często niedocenianym, jest uregulowanie czynności trawienia, o które codziennie dbać trzeba. Do tego celu nie wolno używać ostrych i energicznych środków, drażniących tak dobrze jelita, jak również skórę nazewnątrz, lecz zwrócić się znowu do dietetyki. Pożywienie musi być tak zestawione, ażeby pobudzało czynności jelit, przyczem zaznaczyć należy, że to, co przeciętnie określamy jako »dobre odżywianie się«, jako »posilne potrawy«, nic wspólnego nie ma z racjonalnem odżywianiem. Zatem mięso, jaja i wszystkie inne bogate w białko środki spożycze są tu przeciwwskazane. Nie znaczy to, ażeby mięso i białko zupełnie z diety wyłączyć; trzeba je tylko ograniczyć a na pierwszy plan wysunąć potrawy jarskie. Jarzyny, owoce, sałata, rzodkiew, groszek, fasolka pobudzają jelita do energiczniejszej czynności, więcej pracy od nich wymagają. Następnie: słodkie i kwaśne mleko, joghurt, kefir, prawdziwy razowy chleb, kwaśna kapusta, śliwki, tłuszcze i t. p. Zauważyć też należy, że dobór pożywienia musi być indywidualnie traktowany, bez jakiegokolwiek przymusu i że każdy powinien wypróbować, co mu najlepiej służy.

Wystrzeganie się masła i sera przy tłustej cerze jest nieusprawiedliwione. Tłuszcz wogóle jest takiem nieocenionem źródłem siły, że należy go organizmowi w odpowiedniej ilości dostarczać, chyba, że inne cierpienie nań nie pozwala. Natomiast ograniczyć należy bezwzględnie ilość soli kuchennej w potrawach.

Poza dietetycznemi wskazówkami wyliczyć trzeba i fizykalne środki, wspomagające czynności jelit: gimnastyka, masaż, półkąpiele, elektryzowanie prądem stałym lub przerywanym.

Zaleca się mycie twarzy wodą gorącą, która powoduje najpierw rozszerzenie naczyń krwionośnych i zaczerwienienie skóry. Potem skóra tem silniej blednie, ponieważ im naglejsze rozszerzenie, tem energiczniejsze w następstwie zwężenie naczyń krwionośnych. Mycie gorącą wodą musi być krótkie $^1/_2$ — 1 minuty trwające; w przeciwnym razie pory pozostają rozszerzone, a skóra wiotczeje. Po gorącej wodzie opłókać twarz zimną wodą, co przyśpiesza zwężenie się naczyń. Tego rodzaju mycia — najlepiej na noc — wymaga mydła odtłuszczającego, np. ichtjolowego lub siarkowego. Przed mydłem smołowem trzeba przestrzec bardzo energicznie.

Oczywiście, w okresie przejściowych zadrażnień skóry należy mydło zarzucić chwilowo, i myć w tym czasie jajem lub otrąbkami. Jeśliby nadmierna wrażliwość skóry wykluczała zupełnie mydło, wówczas myć twarz zwitkiem waty przepojonym benzyną.

Po umyciu i osuszeniu stosować środki odtłuszczające, które indywidualnie wypróbować trzeba. Naprzykład:

Flor. sulf. . . . . 0,2 — 2,0
Mitin. 20,0
D. S. (zewnętrznie)

Acid. boric. . . . . 1,0 — 2,0
Mitin. 20,0
D. S. (zewnętrznie)

Resorcin . . . . 0,2 — 2,0
Ol. ricini 1,0
Spiritus 20,0
D. S. (zewnętrznie)

Sulf. praecipitat. 0,2
Resorcin 0,2
Ichthyol 0,2
Ol. Arachidis 2,0
Past. Mitin. ad 20,0
D. S. (zewnętrznie)

Efeh

COŚNIECOŚ DLA PANÓW



O ile patrzymy pobłażliwie na wszelkie ekstrawagancje, fantazje i przesadę w szczegółach toaletowych pań — coprawda jedynie gdy idzie o wieczorowe i balowe suknie — o tyle rażą nas one u mężczyzn, którzy za każdą cenę powinni unikać wyglądu »jak z żurnala«. Niewolnicze stosowanie się do sezonowych zmian, np. przesadnie szerokie spodnie lub przesadnie krótka marynarka i t. p., bawi młodzieńców w okresie zdobycia świadectwa dojrzałości — i zasługuje na dobrotliwą wyrozumiałość. Natomiast w okresie późniejszym trąci śmiesznością.

Jeśli mówimy o mężczyźnie, że jest »dobrze ubrany«, nie łączymy z tem bynajmniej pojęcia o najnowszym krzyku mody męskiej. Dobrze ubrany pan, to ten, którego sylwetka w całości zachowuje dzisiejszą linję i nie trąci czemkolwiek przestarzałem, którego ubranie jest zawsze nienagannie czyste, wyprasowane, a szczegóły tworzą harmonijny zespół. Przedewszystkiem jednak to ten, który o każdej porze dnia i w każdej okoliczności jest odpowiednio ubrany, czyli wie, co i kiedy ma włożyć, a ubranie umie nosić.

Obecna moda męska jest mniej surowa w szczegółach i mniej ponura w barwach, aniżeli dawniej. Zaznacza się rozmiłowanie w żywszych kolorach, czego dowodem wzorzyste krawatki, kolorowe kamizelki i większa skala odcieni w materjałach na ubrania a nawet okrycia, i w filcach na kapelusze.

Ubrania t. zw. marynarkowe, »vestons«, o brzegach zaokrąglonych, pozwalają na różne kombinacje kolorów, i na odmienne kamizelki. Te ostatnie, o ile są w kolorze ubrania, mają rozchodzące się z przodu ostro zakończone brzegi i są zapięte wysoko pod szyją na 5—6 guzików. Kamizelka w kolorze odmiennym jest nisko wycięta, ma 3 guziki, wyłogi stosunkowo szerokie, a brzegi równe, zachodzące na siebie.

Bardzo wygodną nowością — co prawda od zeszłego sezonu, ale u mężczyzn coś podobnego widocznie jest możliwe — jest ubranie złożone z dwurzędowej czarnej marynarki i kamizelki, lub marynarki i kamizelki »marengo« do spodni w paski. Kombinacja o tyle praktyczna, że mogą tu wchodzić w rachubę spodnie żakietowe. Tego rodzaju marynarkę wkładać można narówni z żakietem, na przedpołudniowe uroczystości, popołudniowe wizyty i t. p.



Spodnie są długie i szerokie; wymagają też w pasie doskonałego kroju z wszytkami, co wobec krótkości kamizelek jest szczegółem bardzo ważnym. Wykończenie spodni marynarkowych u dołu manszetami jest jeszcze modne, jakkolwiek widzi się więcej modeli bez nich.

W dziedzinie smokinga zaszła duża zmiana. Poważny angielski fason, o wyłogach pokrytych matowym jedwabiem, o brzegach łagodnie zaokrąglonych, zapięty na jeden guzik, dostał rywala pod postacią dwurzędowego smokinga. Model ten, podobny w kroju do marynarki dwurzędowej, różni się od niej głębszem wycięciem, zapięciem na dwa guziki i błyszczącym jedwabiem na wyłogach. Krój francuski jest fantazyjniejszy od angielskiego, który zachował surową prostotę.

Dwurzędowy smoking, znoszący kamizelkę, stał się ulubieńcem sezonu letniego zwłaszcza w modnych miejscowościach nadmorskich i kuracyjnych. Powody zrozumiałe — o ileż lżej w duszne wieczory letnie i w tańcu...



Natomiast w mieście, fason pierwotny, t. j. klasyczny jednorzędowy, robi wrażenie poważniejsze, raczej więcej wieczorowe. Z tego wynika, że kto ma smoking dwurzędowy, musi mieć i jednorzędowy, jednakowoż właściciel tego ostatniego nie musi mieć dwurzędowego. Zatem narazie, pan oszczędny, sprawia smoking klasyczny.

Spodnie smokingowe są bez manszetów u dołu; na szwach bocznych mają szerokie taśmy. Kieszenie smokinga (w których się nigdy rąk nie trzyma...) są zacinane, bez klapek; z górnej kieszonki, tuż przy wyłogach, wysuwa się fragmencik śnieżnobiałej chusteczki, opadając wiotko wdół.

Do smokinga lakierki sznurowane — nie pantofle — i czarne pończochy jedwabne. Czarna krawatka-motylek o końcach szerokich a malutkim węzełku.

Smoking króluje od godziny siódmej wieczorem począwszy.

Frak, uroczysty strój pana, ażeby robił korzystne wrażenie, musi leżeć jak ulany na figurze swego właściciela. A przytem pozwolić na zupełną swobodę ruchów, bez obawy o tworzenie się niepożądanych fałdów. Tylko takiej drobnostki wymaga frak od krawca.



Frak nie jest przesadnie długi; wyłogi ma jedwabne, po bokach po trzy guziki. Kamizelka głęboko wycięta, z białego jedwabiu, o brzegach ostro lub zupełnie równo zakończonych. Szalowe wyłogi kamizelki muszą pozostać ukryte poza frakowemi aż do miejsca zapięcia. Jednorzędowe zapięcie kamizelki miewa cztery lub trzy guziki, dwurzędowe zaś tylko dwa. Spodnie mają na bocznych szwach dwie wąskie taśmy. Biała krawatka motylek i w kieszonce biała chusteczka.

Lakierki wycięte, z wąskiemi kokardami płasko ułożonemi i czarne jedwabne pończochy.

Pora i okoliczności, w których pan wkłada frak nie bywają nigdy kwestją sporną, więc też rozwodzić się nad tem niema potrzeby.

Jeszcze kilka drobnych szczególików na zakończenie dzisiejszej pogawędki. Kamizelki dwurzędowe pogrubiają, a ponieważ dziś »linja« obowiązuje *de rigueur* i panów, zatem ci, którzy studjują prospekty i artykuły o... parafinie, niechaj się trzymają fasonów jednorzędowych.



Ulubionemi kolorami na kamizelki odmienne od materjału ubrania są: jasnopopielaty lub *beige*. Rodzaj materjału: kaszmir. Guziki z masy perłowej.

Do ubrań marynarkowych dwurzędowych noszonych wieczorem, w kolorach ciemnych, np. stalowym, granatowym, kasztanowym, nosi się buciki czarne, ze skórki *box-calf ciré* — pod żadnym warunkiem lakierki. Cholewki z jasnego sukna. Forma surowa, prosta; niziutkie, szerokie obcasy, mocne podeszwy.

Okrycie czarne lub zupełnie ciemne. Rękawiczki ze skórki miękkiej szwedzkiej czy też antylopowej, w kolorze *beige* albo popielatym.

Krawaty wiązane, długie, t. zw. *régate*, w drobny deseń kubistyczny lub w dosyć szerokie poprzeczne paski. Spinki do mankietów emaljowane. Papierośnica srebrna.

Gentleman

„UZUPEŁNIENIE" TOALET BALOWYCH

GDY się patrzy obecnie na sklepowe wystawy szewca, trudno jest sobie nawet wyobrazić, że te wszystkie cuda] to tylko zwykłe modne pantofelki.

Raczej — jakiejś dziwacznej formy klejnoty! Wszystko się mieni najróżniejszemi kolorami tęczy, skrzy się i jarzy od brylantów, szmaragdów i innych, równie fałszywych, lecz jakże lśniących› drogocennych kamieni.

Śliczne są obecnie pantofelki!

Forma ich dość prosta i nie uległa żadnej zmianie, a o modzie stanowi kolor, gatunek skóry i ozdoby.

Na codzień pantofelek nie powinien być zbyt ozdobny, ale i tu moda wprowadziła pewne fantazje, inkrustując deseniem. Z lakierowanej skórki *beige*, solidny, amerykański pantofelek bronzowy na mocnym obcasie.

Do wizytowych toalet najmodniejsze są pantofelki z wytłaczanej, miękkiej skórki *(peau imprimée)*. Kolor ściśle dobrany do sukni, wytłaczania *vieil - or* lub *vieil - argent*, przytem deseń powtarza jakiś motyw z przybrania sukni lub kapelusza. Obcas francuski, lakierowany i mocno błyszczący, jaśniejszy o cień w kolorze od barwy pantofla.

Balowe pantofelki są najróżnorodniejsze. Brokatowe złote i srebrne utrzymują się w dalszym ciągu, ale ostatnim »krzykiem mody« są czarne jedwabne, tak gęsto naszyte brylancikami, że prawie nie widać tla. Obcas bardzo wysoki, nabijany brylantami. Kolorowe kamienie są także modne, ale mniej *(n vogue*.

Ważnym szczegółem jest dobrze dobrana pończoszka. Widoczna jest tendencja ku barwom ciemniejszym, mimo to do »brylantowych« pantofelków modny jest odcień *gris - perle*, albo popielato-różowawy *pigeon*. Przy ciemno-złotych noszone są *terre - cuite*. Pończochy cieliste do strojnych toalet są już prawie zupełnie niemodne.

Rozmaitość kwiatów używanych do kolorowych sukien jest ogromna. Bardzo modne są kwiaty lotosu o dużych niedbałych płatkach z jedwabnej, miękkiej gazy. Te kwiaty nadają się najlepiej do toalet naszywanych brylantami. Jeśli suknia jest gładka, wtedy najstosowniejszy będzie kwiat ze strasów. Kwiaty z piór, posypywane błyszczącym srebrnym lub brylantowym proszkiem, wyglądają bardzo efektownie, ale... ale... taki kwiat jest bardzo drogi, jeśli nie ma przypominać miotełki do kurzu, i mimo to jest tak nietrwały, że po paru godzinach wygląda melancholijnie (wiem to także, niestety, i z własnego doświadczenia), przyczem robi się niezwykle podobny do zmokłej kury, której przyszła fantazja przebrać się w *travesti*.

Wszystkie kwiaty przypina się wysoko na ramieniu.

Gorzej zaczyna się przedstawiać sprawa modnej biżuterji. Wygodne fałszywe perły cicho odeszły w krainę zapomnienia i nosić ich już więcej nie wolno.

Modne są tylko brylanty!

Tu jest ten bolesny moment, bo o ile suknie, pantofelki, klamry, paski, torebki: — dopuszczają niezliczone ilości karatów, fałszywych brylantów, o tyle modna biżuterja postanowiła być prawdziwą.

Najmodniejsze są teraz bardzo szerokie bransolety, gęściutko wysadzane brylancikami. Takich bransolet wkłada się pięć lub sześć, aż zakryją rękę do łokcia. I tu — moda się uparła i chce nagwałt prawdziwych brylantów. Prawdopodobnie w krótkim czasie zrezygnuje ze swych nierozsądnych zachcianek, narazie jednak posłuszne jej są bogate Amerykanki, olśniewające bliźnich kamieniami najczystszej wody.

Na pocieszenie muszę dodać, że są też noszone (ale już nie do balowych toalet) cieniutkie bransoletki ze srebrnego lub złotego drutu. Takich bransoletek »szanująca się kobieta« powinna mieć ze trzydzieści. Ubywa za to wydatek na kolczyki, które narazie są niemodne.

Do balowej toalety nieodzowna jest torebka, w której się chowa koronkową chusteczkę do nosa, puder, puszek i ołówek do ust.

Torebki takie są, rzecz prosta... brylantowe! Bardzo mi przykro, że nie mogę wybrnąć z tych brylantów, ale doprawdy nie moja w tem wina.

Torebka balowa ma formę małego portfeliku, zawieszonego na cieniutkim srebrnym łańcuszku i pokrytego z obu stron małemi brylancikami, wśród których dyskretnym deseniem przewijają się piękne fałszywe rubiny, albo szmaragdy. Jeśli jest gładka i bez deseniu, to zamknięcie jej stanowi klamerka z kolorowych kamieni. Modne są też emaljowane czworokątne, płaskie pudełeczka, także na łańcuszku zawieszone, zupełnie gładkie i dobrane w kolorze do toalety, albo też wysadzane brylancikami. Najbardziej w użyciu są gładkie i mające w jednym rogu monogram z drobniutkich brylancików. Te ostatnie należą już do biżuterji prawdziwej.

Wachlarz, który dawniej był niezbędnym dodatkiem do balowej sukni, prawie zupełnie został zapomniany. Nie jest wprawdzie niemodny, ale też nie jest modny. Używa go się dość rzadko i tylko do tak zwanej *»grande toilette«*. W obecnym sezonie dopuszczalny jest tylko jeden typ wachlarza, z trzech olbrzymich, nierówno ułożonych strusich piór, zawsze w kolorze sukni. Inne wachlarze, nawet najcenniejsze, jak np. z prawdziwych koronek, są zupełnie niemodne.

Przybrania głowy spotyka się rzadko. Kompletują one strój balowy na scenie, ale pozatem noszone są mało, zwłasza teraz, gdy coraz bardziej znikają gładkie czuprynki *à la garçonne* a na ich miejsce pojawiają się krótkie ondulowane loczki, które są odpowiedniejsze do toalety balowej i nie rażą tak przy strojnej sukni, jak po męsku szczotką wygładzona główka garçonki. Bardzo dużo nosi się białych, jedwabnych peruczek, obsypanych diamentowym proszkiem, podnoszących urodę, ale nadających się tylko do jasnej cery. Dość modne są także brylantowe przepaski szerokie na dwa palce, paziowskie siatki, których srebrne wiązania zakończone są brylancikami lub kolorowemi kamieniami; spotyka się też diademy wysokie w kształcie ruskich »kokoszników«, ale jak już wspomniałam, przybrania głowy nie mają obecnie zbyt wielkiego powodzenia.

Dużo za to jest fantazji w upinaniu krótkich loczków i wszelakiego rodzaju grzebyków, klamerek, od gładkich szyldkretowych do bogato inkrustowanych strasami lub, jeśli kto woli, prawdziwemi brylantami.

Zdaje mi się, że wymieniłam już wszystkie modne drobiazgi, stanowiące tylko »skromne« uzupełnienie sukni... Dodać jeszcze tylko muszę, że zwykły tiul jedwabny (z metra) w kolorze sukni, trochę sztywny, aby stworzył »obłok« czy »chmurkę« dookoła twarzy, zastąpił wszystkie modne szale, noszone w zeszłym roku, i — należy do całości toalety.

Paryż, w styczniu *Iza Glinka*

MODELE MÓD





337 Suknia wieczorowa z wzorzystej krepy jedwabnej, białej ze złotem. Wypustki z aksamitu w ciemnym tonie. Klamra artystyczna.
338 Suknia wieczorowa z *crêpe »Olympic«* w grochy; spód wykończony plisą z czarnej *crêpe satin*. Spódniczkę przykrywają frendzle; klamra emaljowana.
339 Suknia na herbatkę lub obiad proszony z *crêpe de Chine* lawendowej; przybranie z fiołkowej *crêpe satin.*

340 Wytworna, pełna prostoty, toaleta balowa. Spód obcisły z lamy mieniącej, od ramienia zarzucona tiunika z ciężkiego jedwabiu, związana w wielki szykowny węzeł. Nierówny obwód (idealna do przeróbki z dwu zeszłorocznych su kien).
341 Efektowna młodzieńcza toaleta balowa. Staniczek ze srebrne łuseczki. Wierzch i spódniczka, złożona z części żabotowych na wąskim spodzie.

Trzy toalety dla panienek



342 Z białej *crêpe de Chine*, pół-stylowa. Brzeg staniczka wykończony różyczkami.

343 Z blado-różowej *crêpe Georgette*, cała układana z plisek; wykończenie u szyi i kokarda z jasno-rubinowej, miękkiej lamy.

344 Stylowa sukienka: symfonja złotawa. Stanik i spód z tafty; falbanki spódniczki i rękawki z *mousseline de soie*. Róże stylowe.

„Travestis“ na bale kostjumowe

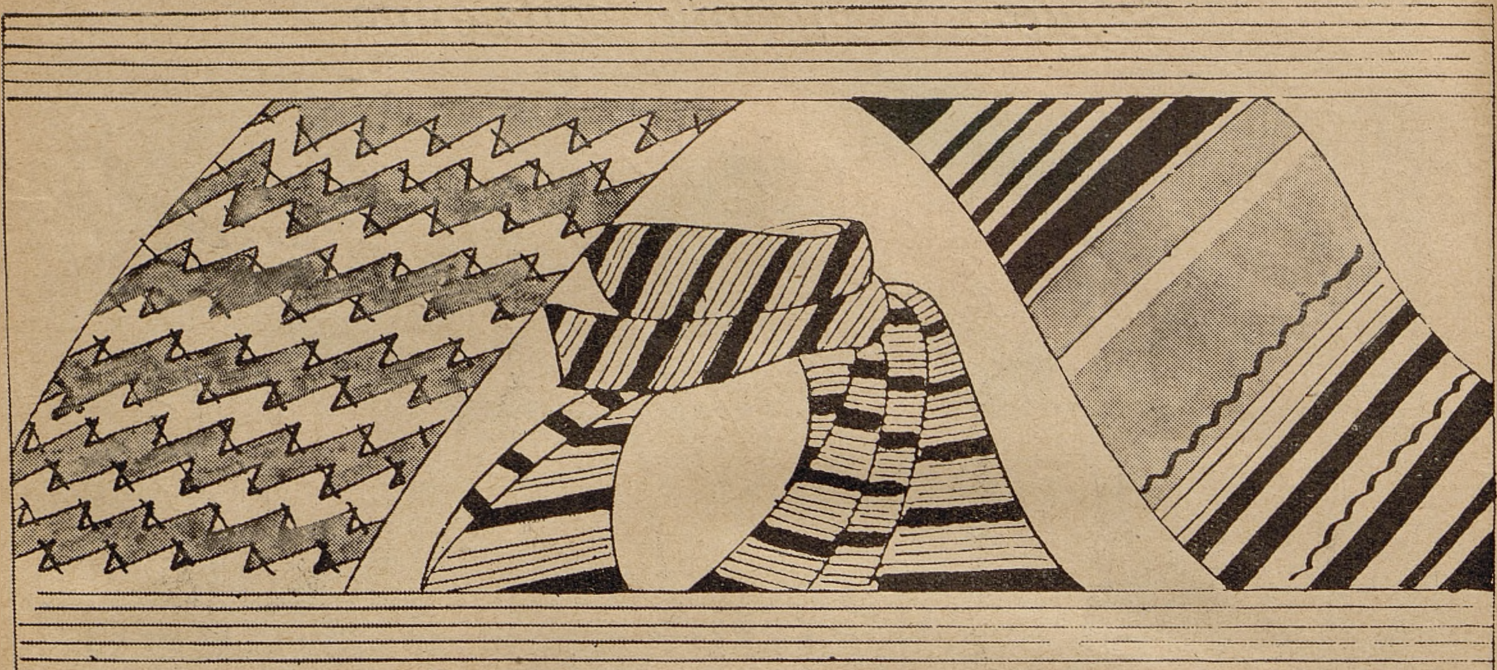


345 Puderniczka | 346 Paź fantazyjny | 347 Sprawiedliwość

DOKŁADNE OPISY NA ZAMÓWIENIE

Szykowne sukienki codzienne






352
353
354
355



348 Z cienkiej, jasnej *kashy*, przybranie z *kashy* ciemniejszej; plastron z aksamitu ciemnobrunatnego.

349 Z czarnego aksamitu wełnianego; przybranie w kolorze *beige*, naszywane sznureczkami.

350 Z *crenelli* popielatej; baskina zę skóry w dwu kolorach.

351 Skombinowana z materjału angielskiego w kratę z jedwabiem do prania. Wykończenie spódniczki i kołnierzyk z czarnego cienkiego aksamitu.

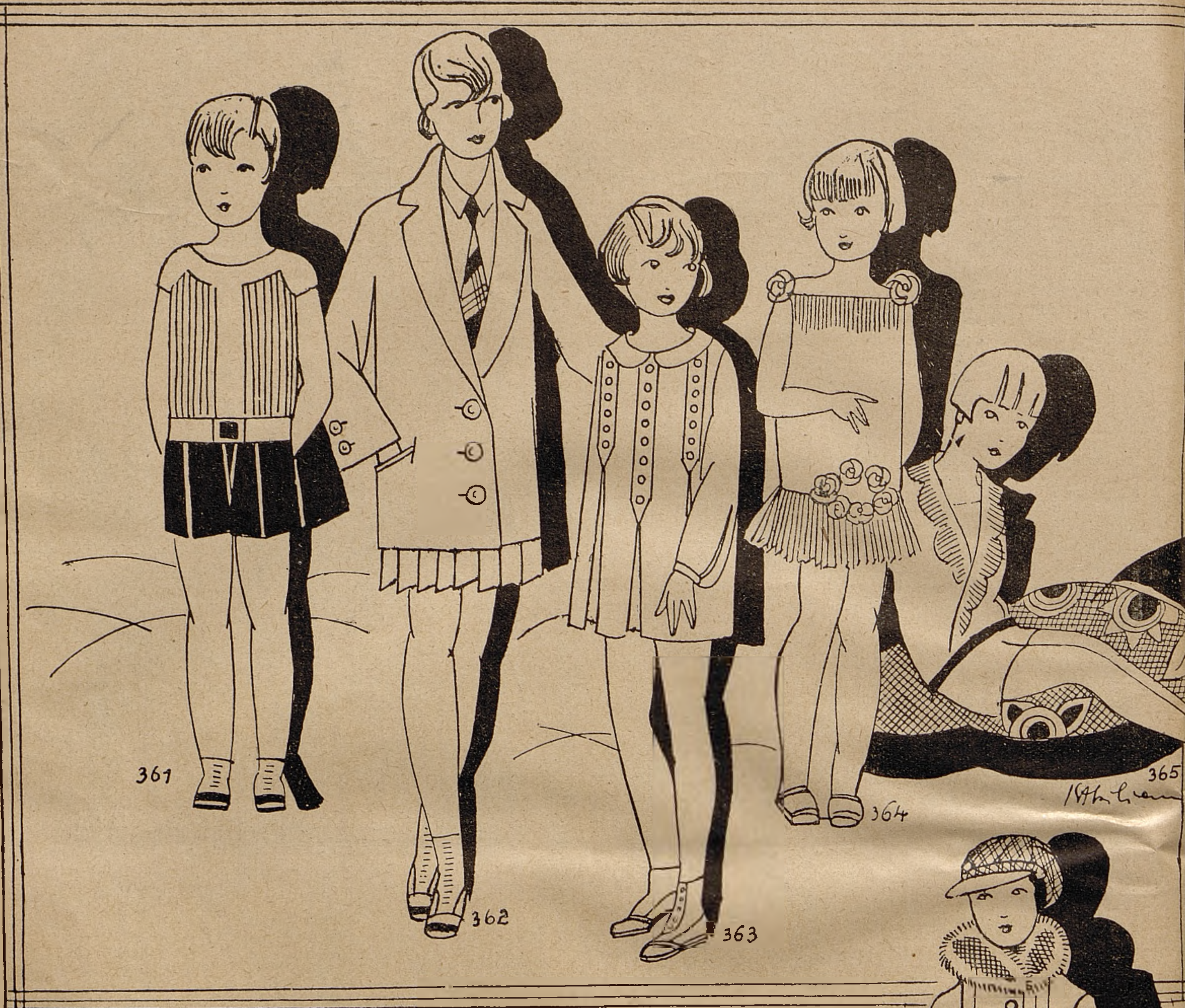
351 Z *kashy* rezedowej, pasek i kołnierzyk ze skóry ciemnozielonej i piaskowej. Plastron piaskowy.

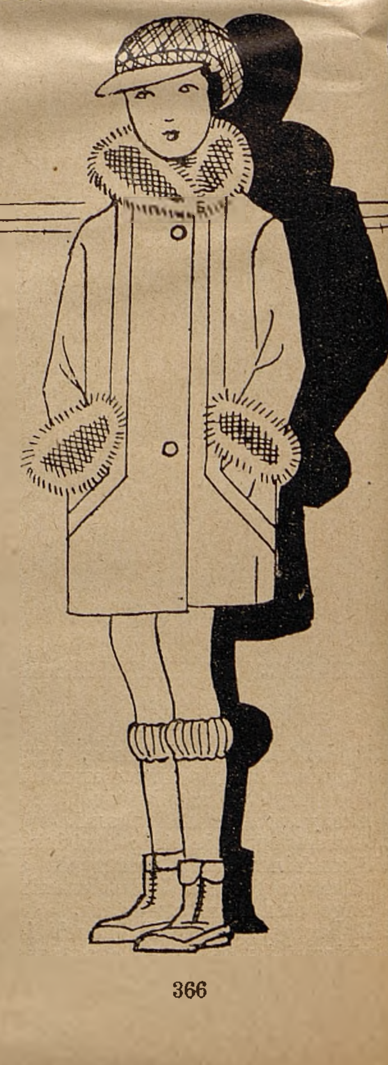
352, 354, 355 Szykowne sukienki domowe z *kashy*, *crepelli* i lekkiej wełny (materjały do prania). Nadają się do przeróbki.

353 Wdzięczny szlafroczek z jasnej flaneli; przybranie z aksamitu.

356, 357, 359 i 360 Pełne szykownej prostoty sukienki domowe i do pracy zawodowej. Z praktycznych materjałów wełnianych.

359 Sukienka wizytowo-dancingowa z lekkiej *crêpe satin* w dwu tonach pastelowych. Zęby wykończone obstebnowaniem w ciemnym kolorze.





366

Dla naszych milusińskich

361 Ubranko dla chłopczyka. Spodenki z aksamitu wełnianego do prania. Bluzeczka z białego lodenu. Takiż pasek z klamrą.
362 Wdzięczny żakiecik dla dziewczynki z grubej *kas' y*.
363 Sukienka dla dziewczynki. Równa koszulka w głębokie fałdy z przodu. Jedyną ozdobą trzy pliski wykończone guziczkami.
364 Sukienka na uroczystości familijne (może być przerobiona z mamusinej). Muślin lub *Georgette*. Falbanka plisowana. U wycięcia partja zakładeczek. Naiwne kwiatuszki z *Georgette*.
365 Stylowe ubranko dla chłopczyka z jasnego aksamitu; kołnierz biały.
366 Płaszczyk zimowy dla chłopczyka z wełny angielskiej, przybrany jasnym futerkiem.

ROBOTY RĘCZNE

OBJAŚNIENIA DO ARKUSZA WZORÓW

TURNIEJ. Wzór na makatę z kolorowych sukienek. (Aplikacja. Ścieg dziergany jak przy »Richelieu«.)

Wzór ten jest stosowny na poduszkę do pokoju męskiego; również można ją wykonać aplikacją ze skór barwionych (w takim wypadku kolory: biały i żółty można zastąpić skórką srebrną i złotą).

Kolory dowolne, dla przykładu podano kolory naturalne oznaczone lit. a), albo fantastyczne lit. b).

Kolory:

1. **Tło**	a) zielone	b) bronzowe
2. **Ciało konia**	a) brunatne	b) fioletowe
3. **Grzywa, ogon konia**	a) granatowe	b) jasno błękitne
4. **Kopyta, lejce, kopja konia**	a) ciemny bronz	b) białe
5. **Zęby konia**	a) białe	b) żółte
6. **Oko końskie**	a) białe	b) seledynowe
7. **Źrenica końska**	a) fioletowa	b) bronzowa
8. **Pancerz i szyszak**	a) jasno błękitny	b) jasno zielony
9. **Kita**	a) ponsowa	b) pomarańczowa
10. **Suknia rycerza**	a) żółta	b) szkarłatna
11. **Płaszcz „**	a) biały	b) żółty
12. **Cienie płaszcza**	a) czerwone	b) granatowe
13. **Dera**	a) żółta	b) szkarłatna
14. **Ornament na derze**	a) jasno czerwony	b) biały
15. **Suknia królewny**	a) biała	b) liljowa
16. **Ornament na sukni**	a) granatowy	b) żółty
17. **Płaszcz, buciki**	a) czerwony	b) czerwony
18. **Korona, spinki, strzemiona**	a) żółte	b) białe
19. **Warkocze, rzęsy, brwi**	a) granatowe	b) ponsowe
20. **Ciało królewny**	a) blado różowe	b) kremowe
21. **Wieniec**	a) ciemno zielony	b) fioletowy

Stylowa i wykwintna makatka, ozdobi każdy pokój męski i wniesie nutę czystej sztuki.



Rys. 91. **Makatka japońska.** Aplikacja: sukno na suknie. Proj. Anna Fryze.

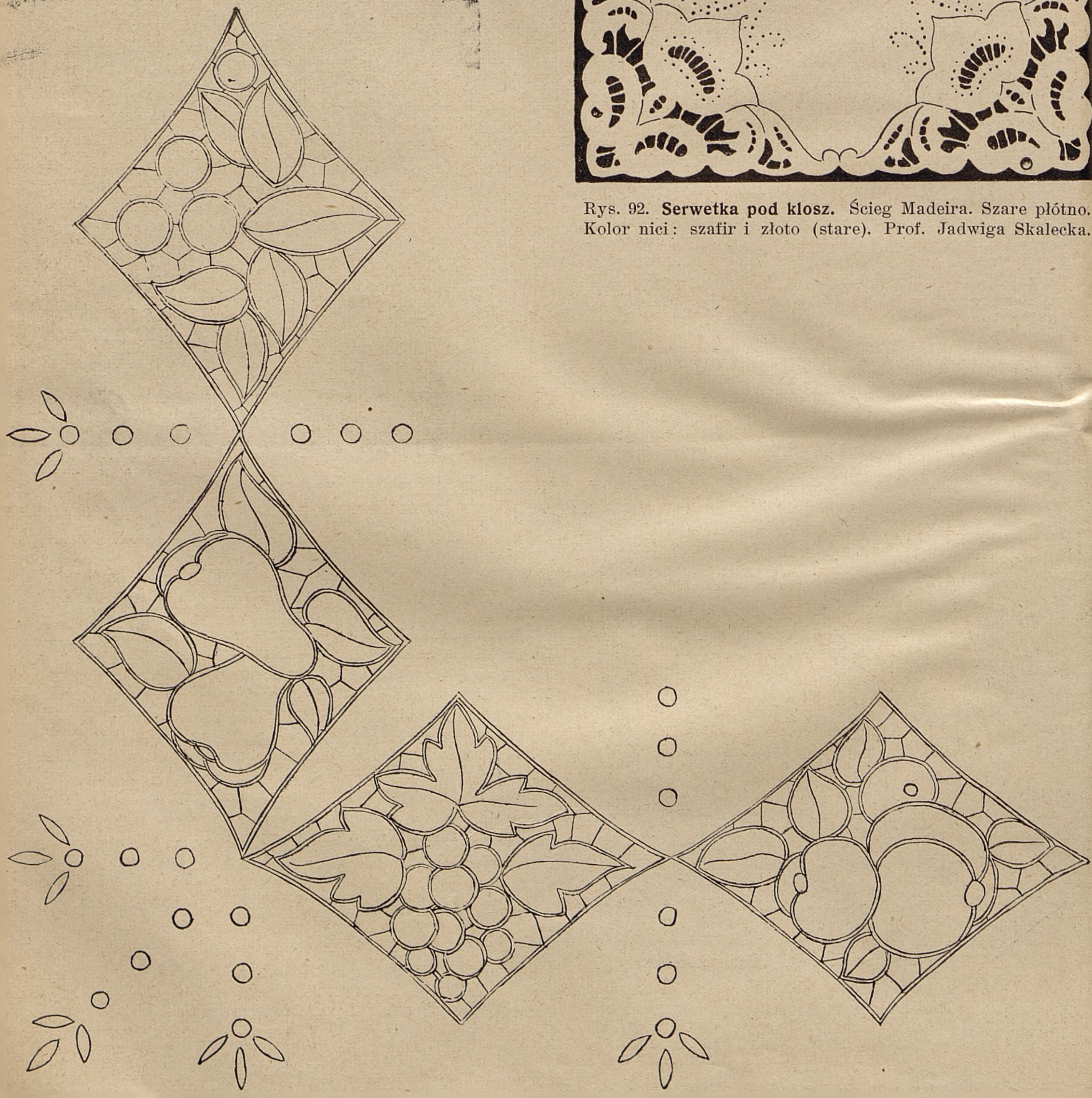


Rys. 90. **Makatka japońska.** Aplikacja: sukno na suknie. Proj. Anna Fryze.

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela redakcja



Rys. 92. **Serwetka pod klosz.** Ścieg Madeira. Szare płótno. Kolor nici: szafir i złoto (stare). Prof. Jadwiga Skalecka.



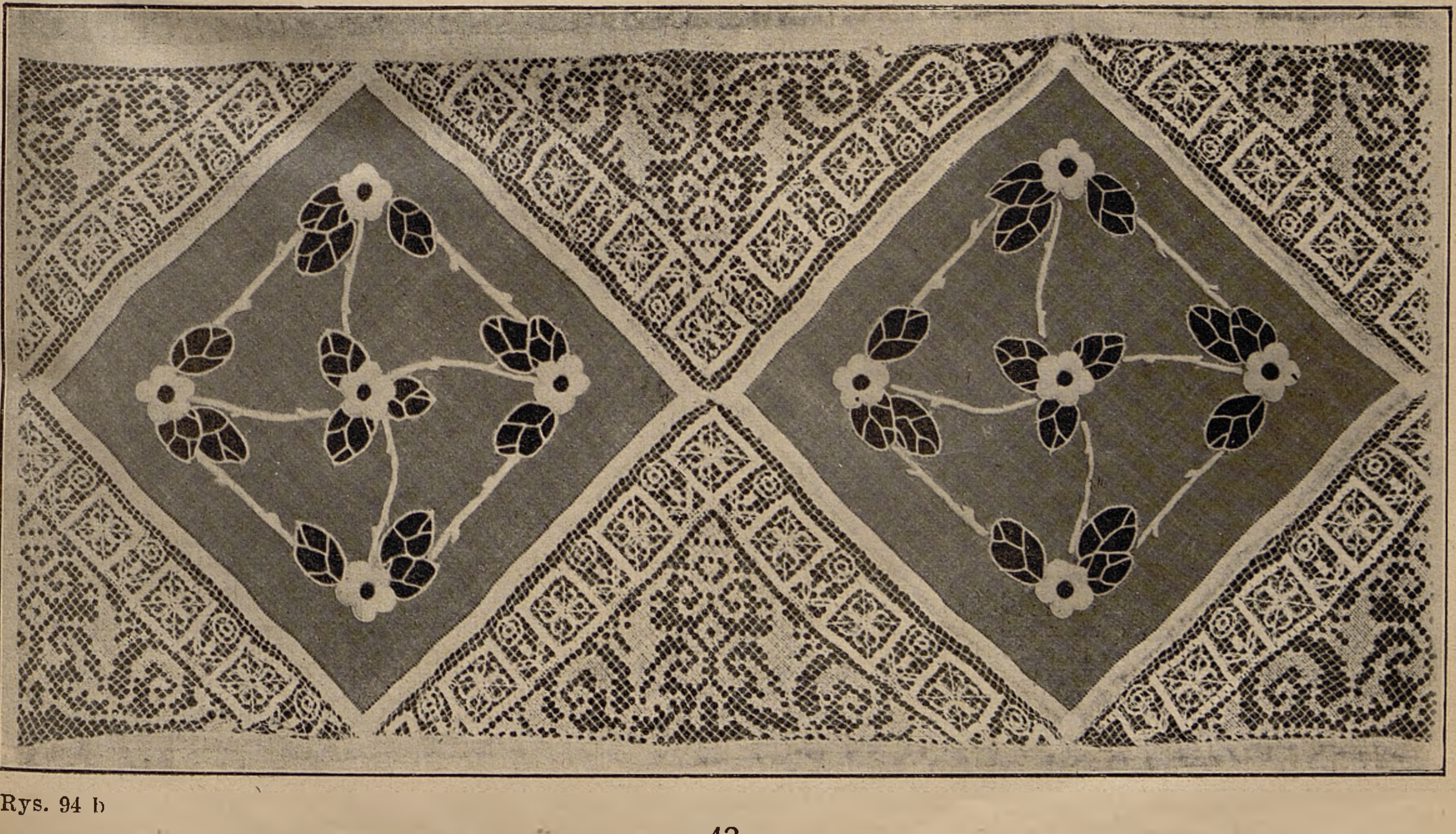
Rys. 93. **Obrus stołowy** na 6 lub 12 osób. Haft Richelieu i szpachtel. Proj. Marja Noworytowa.

94 a. -- **Firanka** z trzech części, wykonana z markizety. Haft biały wykonany na markizecie bawełną DMC. Kwiatki lekko podłożone i wydziergane numerem 25-tym; ażurowe listki numerem 20-tym. Trójkąty siatkowane z bawełny DMC w kłębkach Nr. 50; wzór wyszyty bawełną »Coton perlé« Nr. 12.

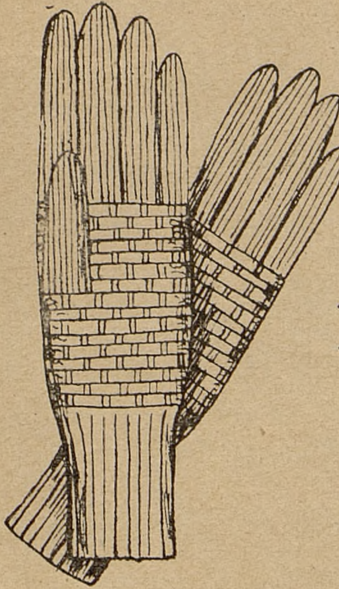
94 b. **Lambrekin.** Haft biały. Siatki. Projekt p. Eugenji Podlaszeckiej, nauczycielki hafciarstwa artystycznego, wykonany na kursie hafciarstwa artyst. w Państwowej Szkole Zawodowej Żeńskiej we Lwowie.

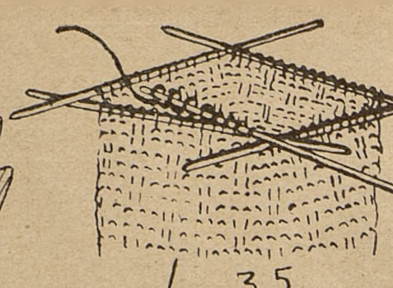


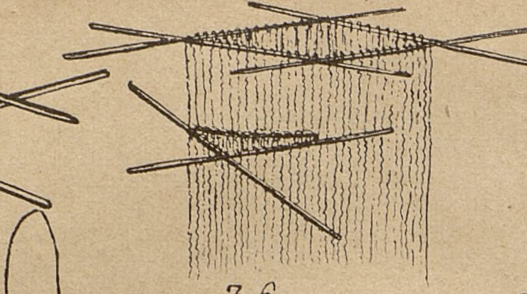
Rys. 94 a



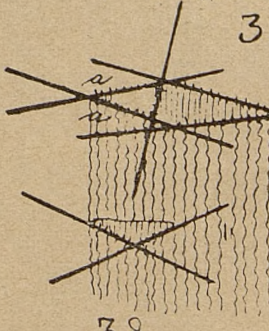
Rys. 94 b

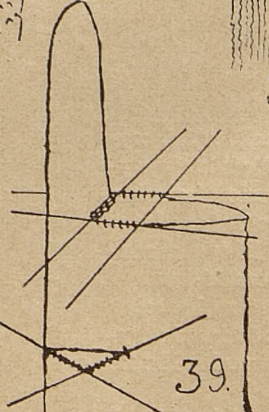


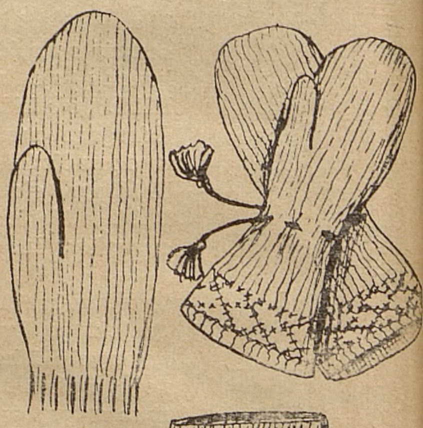


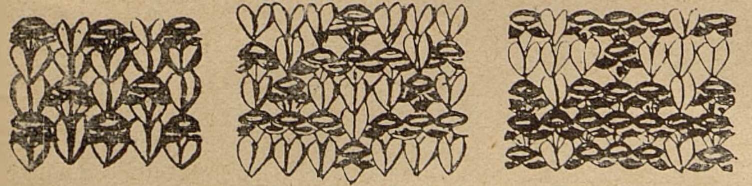
















KURS TRYKOTARSTWA (5)

RĘKAWICZKI robione ręcznie są znacznie trwalsze od maszynowych, gdyż używa się na nie mocniejszej włóczki. Przytem jest to dużą korzyścią, że można palce nadrabiać, mając stosowną włóczkę. Ileż to razy musi się odrzucić rękawiczki, których dłoń i mankiet są zupełnie dobre, z powodu podartych tylko palców.

Podajemy najłatwiejszy i najpraktyczniejszy sposób roboty rękawiczek. Na rękawiczki z palcami potrzeba 7—9 drutów. Grubej włóczki na rękawiczki damskie potrzeba 7 dkg, cienkiej 4—5 dkg. Na męskie odpowiednio więcej, na dziecięce mniej. Na rękawiczki z długiemi mankietami potrzeba odpowiednio więcej, zależnie od ich długości.

Z grubej włóczki nabiera się 48 oczek, z średniej 64, z cienkiej 72—80, używając stosownej do włóczki grubości drutów. Mowa tu o rękawiczkach damskich. Rękawiczki można robić z pojedyńczym albo podwójnym mankietem. Pojedyńczy robi się odrazu ściegiem pojedyńczo albo podwójnie patentowym (1 oczko gładko, 1 nawywr., albo 2 o. g. a 2 nawywr.). Do podwójnego mankietu zaczynamy robić oczkami gładkiemi, na 4 drutach, złączonych w koło, piątym przerabiamy. Robimy gładko na długość mankieta, t. j. 6—10 cm. Następnie zaczynamy ścieg patentowy, tyle cm, ile ma część gładka. Następnie nabieramy oczka brzegu na 4 druty pomocnicze, przyczem gładka część musi być włożona w środek patentowej. Przy następnym rzędzie odrabiamy po 2 oczka razem, jak przy ujmowaniu, ale bierzemy 1 oczko z drutu z oczkami patentowemi i 1 oczko z drutu pomocniczego z gładkiemi oczkami. Przerobiwszy ten rząd, zaczynamy wzór dłoni. Po zrobieniu 7—8 cm zaczynamy duży palec. W tym celu zostawiamy mniej więcej $^3/_4$ liczby oczek jednego drutu na 1 albo 2 drutach dobranych, a dobieramy na inny drut o $^1/_4$ część mniej oczek, rys. 35. Jeśli wzór mógłby być przerwany przez ubytek oczek, można poprostu nabrać tyleż oczek, ile się zostawia na duży palec. Dalej robi się dłoń, pozostawiając narazie tylko otwór na duży palec, rys. 36. Po 5 cm dłoni, licząc od otworu na duży palec, zaczyna się robić palce. Przelicza się oczka 2 drutów i przeznacza na palec wskazujący o 1 lub 2 oczka więcej, jak wynosi czwarta część oczek z 2 drutów, a więc przy 48 oczkach 7 o., przy 64 oczkach 10 o., przy 72 oczkach 11—12 o. i t. d. Oczka na palec wskaz. bierze się dokładnie nad dużym palcem. A więc 7, wzgl. 10, wzgl. 12 oczek z jednego drutu od strony przedniej i tyleż z drugiego druta od strony tylnej, rys. 38 a. Pomiędzy te 2 druty dobiera się 4 wzgl. 6 oczek na nowy drut, a więc między palec wskaz. i średni, rys. 38. Teraz robi się palec 5—5$^1/_2$ cm, potem zaczyna się odejmować; przedtem należy podzielić oczka równo na 3 drutach i odejmować przy każdym rzędzie na każdym drucie 1 raz. Gdy zostaną 3—4 oczka, nawlec urwaną włóczkę na igłę i przewlec przez oczka rys. 37, następnie zakończyć na lewej stronie. Palec średni zaczyna się w ten sposób, że bierze się tyle oczek, jak na palec wskaz., albo o 1 mniej od przodu i od tyłu, oczka między palcami nawleka się na drut, a naprzeciw nabiera się 4 nowe oczka, które znajdą się między palcem średnim a pierścieniowym, rys. 39. Palec ten robi się nieco dłuższy od wskazującego. Gdyby był za wolny, można odejmować z boków. Następny zaczyna się tak samo, tylko o oczko mniej od przodu i od tyłu, długość równa pierwszemu palcowi. Mały palec robi się jak wskaz. na kraju, krótszy i cieńszy od tamtych. Teraz nabiera się oczka otworu na duży palec na nowy drut i robi się ten palec jak poprzednie, około 6 cm długi.

Rzecz jasna, że najlepiej przymierzać pierwszą rękawiczkę od czasu do czasu. Nie robić ciasno, bo w noszeniu i praniu zbiega się. Kto umie robić rękawiczki z palcami, potrafi zrobić i bez palców, najładniej wygląda ujmowanie z 2 stron.

Rękawiczki sportowe nie mają zazwyczaj palców, ale zato długi mankiet, który można ozdobić kolorowemi szlaczkami. Do szerokich rękawów płaszczy bardzo praktyczne są rękawiczki z długiemi mankietami. Robi się je na kraju szersze co można łatwo uzyskać, biorąc na początek bardzo grube druty, które zastępuje się następnie cieńszemi, albo odejmując po 2 bokach. Przed przejściem mankietu na dłoń powinno się robić kilka centymetrów podwójnego patentu. Mankiety te zdobi się kolorowemi szlakami, krzyżykowym haftem, futerkiem z włóczki, a nawet aplikacją ze skóry albo sukna.

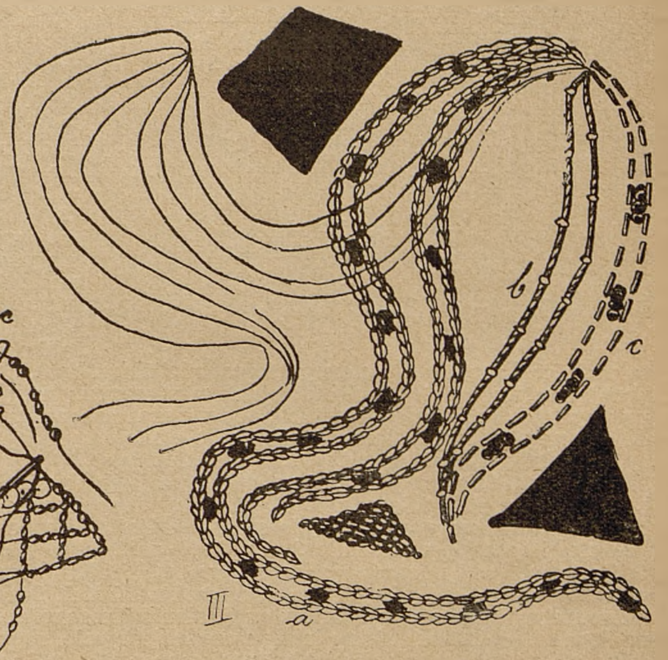
Na następnej lekcji zaczniemy naukę kolorowych szlaków, a w dalszych pokażemy robotę futerka z włóczki.

Wzóry podane mogą być użyte na dłoń. Pierwszy robi się 1 oczko gł., 1 nawywr., 1 rząd gładko i t. d. Drugi — to trójkąciki, robi się raz 3 o. gł., 1 o. nawywr., następny rząd 3 o. nawywr., 1 o. gł. i t. d. Trzeci wzór wykazuje ukośne kwadraciki gładkie, czwarty zygzaki podłużne, piąty zygzaki poprzeczne.

C. d. n. *Z. Kulczycka*

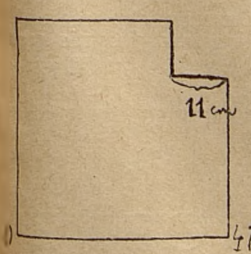




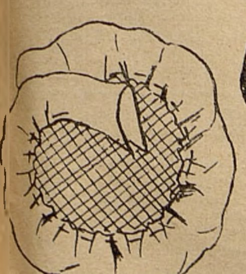












KĄCIK PRAKTYCZNY

KWIAT Z AKSAMITU

WDZIĘCZNA moda przypinania kwiatów do futra nie sprzykrzyła się jeszcze i pobudza do coraz nowych pomysłów. Kawałeczek aksamitu, reszta wstążki, rzeczy napozór nieprzydatne do niczego, wystarczą do uszycia ślicznego kwiatu. Nasz powój powstał z kawałka migdałowego aksamitu krajanego wukos, długości 33 cm a szerokości 10 cm. Węższe brzegi zeszyć, aksamit zmoczyć wodą i zmiąć, żeby po wyschnięciu mienił się w załamaniach. Oczywiście aksamit musi być jedwabny. Brzeg, który ma tworzyć kraj kwiatu, trzeba zagiąć i zafastrygować lekko, aby po wyschnięciu został stale zagięty, nawet po wyciągnięciu fastrygi. Nie można go przyszyć, bo ściegi byłyby widoczne; prędzej można go przykleić, po wyschnięciu, gumą. Gdy aksamit wyschnie, należy brzeg niezałożony zmarszczyć i ściągnąć. Teraz zabarwia się kwiat według gustu, różnemi kolorami. Nasz kwiat ma środek jasno-zielony, brzeg blado-różowy. Można jednak dać środek fiołkowy, a brzeg lila, albo środek żółty, brzeg rdzawy, dalej lila z niebieskiem albo różowem, 2 odcienie zielonego i różne inne kombinacje. Do malowania można użyć akwareli albo farb anilinowych. Bardzo gęsty aksamit maluje się po prawej stronie. Mniej gęsty można zabarwić od lewej strony, co daje śliczny efekt, gdyż farba przegląda przez srebrzysto-jedwabny puszek aksamitu. Przy malowaniu powinno się farby nakładać stopniowo, a więc w środku i na brzegu jednostajnie, a dalej, w kierunku do siebie, rzadko i promienisto. Między dwoma kolorami może pozostać część niezabarwiona, jako przejście. Brzegi kwiatu wygną się wdzięcznie nazewnątrz. Jeśli aksamit jest wiotki, można go apretować gumą w wodzie, od lewej strony. Jako łodyżkę przyszywa się drut potrójnie zgięty i owinięty bladozieloną wstążką, z której też formuje się listek. Kilka takich kwiatów może służyć jako przybranie sukni.

PRZEROBIENIE SUKNI WIECZOROWEJ

Podajemy kilka bardzo łatwych sposobów do przerobienia wieczorowych sukien. Pierwsza suknia otrzymała przybranie w pasie i u wycięcia z pailletek i frendzli. Zamiast paillet, można użyć jakiegoś strojnego materjału, albo koronki. Druga sukienka powstała z wzorzystej, zeszłorocznej, z dodaniem przybrania, z czarnego jedwabiu, kwiat na ramieniu również z tego jedwabiu. Poniżej krój jednej z 4 części. Zacięcie w rogu ujmuje się w lamówkę i przyszywa prosto, przez co układają się wdzięczne fałdy.

Stylowa sukienka rys. 3 uszyta z ciemnej jedwabnej. Staniczek pozostał niezmieniony, prócz lekkiego ścieśnienia w pasie i na biodrach. Ze spodniczki pokrajać ukośne paski i uszyć z nich, przytwierdzone na muślinie, płaskie rozety, zdobiące dół sukni, biodro i ramię. Spodniczka nowa, z powiewnego, matowego materjału, ma wzdłuż przyszyte pasy, które niejako łączą staniczek z rozetami. Sukienka taka wygląda najładniej, jeśli na staniczek i rozetki jest użyty jedwab błyszczący a spodniczka matowa, lub odwrotnie. Dla młodych osób można też skombinować jedwab ciemny z jasnym, albo 2 jasne kolory.

RÓŻNE PRZYBRANIA DO SUKIEN WIECZOROWYCH

Rysunek II przedstawia kilka sposobów przyszywania paillet i paciorków. Jak wyszywa się paciorkami w kratkę, pokazuje I a, przyszywanie paillet w rybią łuskę I b, a otoczenie wzoru nawleczonemi paciorkami I c.

Bardzo modne jest tego roku wyszywanie wszelakiej garderoby, nawet płaszczy i sukien wełnianych, łańcuszkiem. Zastosowanie tego ściegu uwidocznia rys. III a. Inny sposób wykonania wzoru pokazuje rys. III b, mianowicie metalowym sznureczkiem, przytrzymanym ściegiem chwytanym. Podłużne paciorki t. zw. »sztyfciki« i grupy flitrów nadają się równie dobrze na wyszycie wzorów, utworzonych z fantazyjnie narysowanych linij, przerywanych geometrycznemi figurami, wyszytemi paciorkami, flitrami albo aplikacją.

DOBRA GOSPODYNI

PANI PROSI NA HERBATKĘ. — Powojenne trudne stosunki ekonomiczne ograniczyły życie towarzyskie w wysokim stopniu. Dużo kobiet pracuje zawodowo i może tylko mało czasu poświęcić sprawom domowym i gospodarskim. Myśl o jakiemś przyjęciu, w dawnem pojęciu, z całym szeregiem przygotowań nużących i zabierających czas, odstrasza pracującą kobietę od zebrania w swym domu kółka miłych znajomych, w którego towarzystwie zresztą z przyjemnością przebywa.

Dla ułatwienia przyjął się więc zwyczaj proszenia na herbatkę. Zebranie takie ma mieć cechy swobodnego zejścia się, bez ceremonjalnego siadania do stołu. — To też zwykle podaje się taką herbatkę w saloniku, w pokoju pani, albo też w gabinecie pana, jeśli proszono samych panów. Stoliki poustawiane w pokojach mogą być różnego kształtu i wielkości. Dla nadania jednolitego wyglądu wystarczy w jakiemś szczególe nakrycia podkreślić jeden ton, który łączy wszystko w całości.

Może to być rodzaj kwiatów umieszczonych we flakonach, kolor nakrycia, albo styl zastawy. — Bardzo sympatycznie wyglądają barwne podściółki pod haftowane serwetki, harmonizując w barwie z kwiatami, abażurem, albo też innym szczegółem urządzenia.

Rzecz jasna, że zastawa powinna być estetyczna, jakkolwiek skromna, ale w dobrym smaku.

Dla ułatwienia podawania, można na każdym stoliku umieścić koszyczek czy talerz z ciastkami. Zresztą stoliki te służą tylko do odstawiania filiżanek, które najczęściej trzyma się w rękach. Zwykle podaje się prócz ciastek, ostre kanapki. Likier, albo lekkie wino może być w pogotowiu, ale nie jest to konieczne. Dla zdecydowanych przyjaciół alkoholu wystarczy podać rum albo arak do herbaty.

W domach, w których liczba służby jest ograniczona, albo jeśli chce się nadać zebraniu szczególnie intymny charakter, pani domu i rodzina oraz bliżsi znajomi sami podają napoje i koszyczki lub półmiski. — W takim przypadku stanowi samowar, albo używana na Zachodzie maszynka do herbaty szczególną wygodę. Usuwanie użytego naczynia i podawanie czystego pozostawia się zwykle służbie, ale i to może pani domu sama załatwić. Jeśli po herbacie jest krem, galaretka i t. p., bardzo jest wygodnie i szykownie podać je w szklaneczkach poprzednio przygotowanych. Najczęściej napełnia się te szklaneczki ciepłym jeszcze kremem i zastudza w nich. Każdą szklaneczkę można po wierzchu przybrać konfiturami, kandyzowanemi owocami i galaretką.

Zwykle podaje się na końcu owoce. — Oczywiście wybiera się najlepsze gatunki. I tu również sposób podania dużo znaczy. Nie każda pani domu wie, że jabłka poleruje się po umyciu miękką ściereczką, żeby nabrały połysku. Skórka owoców zawiera bowiem cząstkę wosku. Gruszki również można w ten sposób upiększyć, ale nie wszystkie gatunki, gdyż właśnie niektóre wyglądają szczególnie pięknie w swojej matowej powłoce.

Do owoców można podać prócz modnych nożyków i widelczyków piękne papierowe serwetki, co gościom będzie bardzo miłe, gdyż niechętnie plamią serwetki owocowym sokiem.

Największą atrakcją proszonej herbatki jest oczywiście m[illegible] i ożywiona pogawędka, prowadzona z umiejętnością i esp[illegible] przez panią domu, która postara się, żeby wszyscy brali w ni[illegible] udział, albo, jeśli towarzystwo podzieli się w grupki, żeby każ[illegible] miał towarzystwo, z którem sympatyzuje.

Najbardziej powinna się zająć osobami, będącemi po r[illegible] pierwszy w gronie jej znajomych, gdyż trudno czasami wej[illegible] takiej osobie odrazu w kontakt duchowy z nieznajomemi. N[illegible] stety, zdarza się to czasem nawet w dobrem towarzystw[illegible] że pani domu porwana rozmową zapomina o takim zabłąk[illegible] nym gościu, który śmiertelnie się nudzi i przez cały czas n[illegible] znajdzie ani razu sposobności do wymiany zdań.

TARTINKI DO HERBATY. — Pokrajać chleb w cieniutk[illegible] (2—3 mm) kromeczki, posmarować jakiemś ostrem masełkie[illegible] pasztetem, kiełbasą brunświcką i t. p., przełożyć po 5—6 raze[illegible] przykryć czemś ciężkiem, a gdy dobrze się spoją, pokraj[illegible] w kostkę, albo podłużne, wąskie kawałki. Szczególnie dobr[illegible] wyglądają, jeśli smaruje się je naprzemian ciemną i jas[illegible] masą, albo zabarwioną i bezbarwną. Dla uzyskania różoweg[illegible] koloru można zemleć szynkę 2—3 razy na maszynce i zmiesza[illegible] jeśli była chuda, z masłem.

ZIELONE MASEŁKO DO KANAPEK. — Zamieszać 20 dk[illegible] masła z pełną łyżką drobno posiekanej zielonej pietruszki i o[illegible] robiną soku cytrynowego, oraz szczyptą soli i pieprzu.

OSTRE MASEŁKO. — Ugotować 4 jaja, przetrzeć żółtka prz[illegible] sito, dodać 20 dkg masła, kilka oczyszczonych i posiekany[illegible] sardelek i kaparków.

TARTY SER. — Utrzeć ser szwajcarski albo parmezan, dod[illegible] odrobinę musztardy i 2 żółtka z ugotowanych jaj, przetar[illegible] i zmieszane z łyżką oliwy. Soli do smaku.

KREM CZEKOLADOWY. — Czekolady $^1/_4$ kg zagotować z $^1/_{[illegible]}$ trem mleka albo śmietanki. Utrzeć 4 żółtka z 8 dkg cuk[illegible] i zalać powoli gorącą czekoladą, mieszając bez przerwy. Pos[illegible] wić na ogniu i ubijać, tymczasem rozpuścić 4 listki białej żel[illegible] tyny, zdjąć krem z ognia, zanim zakipi, wlać powoli rozpuszczon[illegible] żelatynę i ubijać, aż wystygnie. Nakoniec, po łyżce dodawa[illegible] ubitej słodkiej śmietanki $^1/_4$ litra. Gdy zastygnie w kryształ[illegible] wym półmisku albo szklaneczkach, ubrać małemi marenga[illegible] lub ubitą pianką z białek, czy też śmietanki.

ZASTUDZONA PIANKA KAWOWA. — Rozpuścić 6 listk[illegible] białej żelatyny w $^1/_8$ l wody. Pięć żółtek ubić z 10—20 d[illegible] cukru, dodać $^1/_8$ l mleka albo śmietanki, $^1/_8$ l mocnej k[illegible] i ubijać razem z żelatyną na blasze, aż zacznie podchod[illegible] do góry. — Zdjąć z blachy i ubijać, aż wystygnie, domiesz[illegible] $^1/_4$ l ubitej słodkiej śmietanki i napełnić szklaneczki albo for[illegible] wysmarowaną świeżym olejkiem migdałowym. Przybrać mak[illegible] ronikami i ubitą pianką.

LIKIER WANILJOWY. — Do pół litra 96% spirytusu (l[illegible] goût) dać 3 gramy wanilji i proszku cochenille na koniec noż[illegible]

---

odać $^1/_2$ litra wody i odstawić na 5 dni. Następnie przecedzić dodać syrup z 25 dkg cukru, który zagotowano z $^1/_8$ litra wody óżanej i $^1/_8$ litra wody z kwiatu pomarańczowego. Po kilku niach stania, będzie klarowny.

LIKIER BENEDYKTYŃSKI. — W 1030 gramów wody roz- uścić 375 gr cukru. Dodać: tinkturae galangae 15 gr, tincturae doariae 15 gr, tincturae zingiberis 2 gr, tincturae smubuli gr. Dodać 1050 gr mocnego spirytusu (bon goût), przyczem ależy nieustannie mieszać, żeby się nie utworzyły męty.

O PODŁOGACH. — Nie pomówimy dzisiaj o podłogach wosko- anych, gdyż nie nastręczają większych trudności w utrzymy- aniu. Chcemy się zająć skromnemi i pogardzanemi podłogami prostych desek, jakie niestety tu i ówdzie znajdą się jeszcze

na prowincji i których utrzymanie wymaga dość trudu, żeby jako tako wyglądały.

Jedną z wad takich podłóg są szpary, które z czasem się tworzą. Są one zbiorowiskiem pyłu i nieczystości, a czasem różnych owadów. Należy je więc usunąć. Można je wypełnić dostosowanemi trzaskami z drzewa albo wylepić kitem. Taki kit można sporządzić z $^1/_2$ kg mąki na $^3/_4$ l wody, łyżki sproszkowanego ałunu i rozmoczonego papieru. Mieszaninę zagrzać i zapełnić nią szpary. Inny kit sporządza się z karuku i kredy; należy używać w gorącym stanie. Podłogi do szorowania stają się czasem szare. Chcąc je wybielić należy szorować ostrą szczotką, piaskiem, oraz mocnym ługiem z sody i mydła. Zamiast piasku można użyć tynku z murów. Tłuste plamy nikną, gdy się położy na nie, na kilka godzin, zwykłą glinę.

Po uszorowaniu należy spłókać podłogę gorącą wodą, do której jest dodana kreda, taka jakiej używa się do malowania ścian.

Podłogi lakierowane olejną farbą albo lakierem, są bardzo higjeniczne ze względu na to, że szpar nie mają, i że można je zmywać wodą. Wymagają jednak umiejętnego postępowania, o ile chodzi o konserwowanie farby. Zmywanie naftą, tak chętnie stosowane, nie jest dobre, gdyż szkodzi niektórym farbom i ściera je szybko. Lepiej jest nacierać podłogę po zmyciu, odrobiną oleju. Także mleko, którego niewiele wychodzi, konserwuje podłogi doskonale. Częściej wcierane, pokrywa podłogę powłoką kazeiny, która nie da się zmyć. Dobre jest również woskowanie, daje jednak dużo pracy. — Lakier do podłóg trudno zastąpić, jednak można używać także farb karukowych, jeśli nie chodzi o zupełną nieprzejrzystość. Na podłogę pokoju średniej wielkości rozpuścić 40 dkg karuku w 2 l wody, zagotować, a gdy się karuk zupełnie rozpuści dodać 2 dkg bronzowej aniliny i 2 dkg kalium bichromatum. Maluje się gorącym płynem, który najlepiej umieścić na maszynce naftowej. Schnie prędko i ma ładny połysk. Gdy wyschnie, można drugi raz pociągnąć. Podana ilość kosztuje zł 1·50.

TOWAROZNAWSTWO

Dobry gatunek filcu poznaje się po miękkości, a przy niektórych odmianach także po połysku, mniej lub więcej silnym. Liche filce, często mieszane nawet z bawełną, są twarde, ciężkie i rwą się łatwo; mają przytem charakterystyczny tępy kolor. Filce z sierści, lekkie ale drogie, są najtrwalsze i mają najwytworniejszy wygląd. Miękkie i podatne, są jednak sprężyste i gładkie. Przyjmują pięknie farbę i nie płowieją prędko.

M ę s k i e k a p e l u s z e warto kupować tylko w najlepszym gatunku. Częste zdejmowanie, trzymanie w rękach, wieszanie na wieszadłach, nadweręża je bardzo. Przytem niektórzy panowie nie lubią używać parasoli, więc tembardziej muszą dbać o dobry gatunek kapelusza, który nie straciłby prędko formy, ani nie

zabarwił figlarnie czoła po jakiejś ulewie. Najlepiej trzymać się jakiejś znanej z solidności marki i firmy.

Kapelusze *velours* (pilśniowe) i felbel, o mniej lub więcej długim włosie, wracają co pewien czas do mody. Dobre gatunki są lśniące, gęste i mają piękny kolor. Matowy wygląd świadczy o tem, że sierść jest zmieszana albo wręcz zastąpiona jakąś lichą namiastką. Kapelusze *velours* w dobrym gatunku, są bardzo trwałe, iście niezniszczalne. Twarde odmiany są liche, bo udają tęgość zapomocą silnej apretury, wobec czego z czasem wietrzeją, albo łamią się poprostu.

O kapeluszach aksamitnych i jedwabnych nie będziemy się szeroko rozwodzić, gdyż można tu zastosować wszystkie wskazówki podane w odnośnych rozdziałach. Velvet, oczywiście, nie może z korzyścią zastąpić aksamitu jedwabnego, który odznacza się pięknym połyskiem i kolorem. Rzecz jasna, że lepsze gatunki są lepiej wykończone; zatem dobroć gatunku poznać można po wykończeniu.

Letnie kapelusze nosi się obecnie już w marcu, zaś zimowe w lipcu, ale w jednych i drugich istnieją subtelne odcienie, które znamionują sezony i sezoniki mody. Niewiadomo, co przyniesie przyszły sezon, ale można powiedzieć, że kapelusze słomkowe przez pewien czas zeszły na dalszy plan. Noszono w ostatnich latach prędzej jedwabne, przybrane bortami ze słomki. Borty, czyli plecionki i pletnie, plecie się ze słomki rozmaicie zabarwionej, z łyka i włókna różnych roślin egzotycznych i krajowych. Nawet papier i substancja drzewna służy do wyrobu plecionek. Przemysł stwarza corazto nowe materjały, któremi zastępuje z powodzeniem słomę.

Z borty szyje się także kapelusze tagalowe. Jest to plecionka z manili, którą chętnie naśladują nićmi zwanemi »Eisengarn«. Naśladownictwo to jest liche, wiotczeje w wilgoci i nie przyjmuje pięknego zabarwienia.

Co pewien czas pojawiają się kapelusze z włosienia, zazwyczaj plecionego dość rzadko; kapelusze te odznaczają się elastycznością, którą napróżno starają się naśladować nićmi i papierem. Włosień nie da się tak łatwo zmiąć a poznać go po węzełkach łączenia.

Bardzo trwałe i piękne są kapelusze plecione w całości, jak florentyńskie, panamskie i manila. Dawniej nosiło się taki kapelusz przez kilka sezonów i dlatego można było pozwolić sobie na dość znaczny wydatek. Kapelusze te można z łatwością czyścić i odświeżać.

Kapelusze panama, bardzo praktyczne dla panów, są lekkie, można je zwijać i łatwo schować. Gęsto splecione, a przyte[...] giętkie, są najlepsze. Imitacje załamują się łatwo przy zginani[u].

Czapki i kapelusze ze skóry są niehigjeniczne, bo nieprz[e]wiewne, dlatego powinno się ich używać jedynie do sport[u] wówczas, kiedy chodzi o nieprzemakalność i nieprzewiewność ze względu na silny prąd powietrza, na który narażają rozm[a]ite sporty. Taksamo nie powinno się nosić kapeluszy lakier[o]wanych, które swego czasu były modne i może znowu kiedy wrócą.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad kosmetycznych i gospodarskich w sprawie sztuki indywidualnego ubierania się, urządzani[a] wnętrz mieszkaniowych i t. p., przyczem prosi o wyraźn[e] czytelne pismo w listach z pytaniami. — Na koszta odpowiedz[i] prosimy nadsyłać 30 gr. W miarę możności prosimy podawa[ć] swój adres. Recepty po 1 zł. — Osobiste odpowiedzi w kw[e]stjach kosmetycznych nadsyłamy po otrzymaniu kwoty 1 zł [na] każde poszczególne pytanie. — Przy zamawianiu re[]cept kosmetycznych należy zawsze podać rodzaj cery: 1. sucha — 2. tłusta — 3. skłonna do wyprysków — 4. wr[a]żliwa. — Godziny przyjęć w redakcji: 12—13. Tel. red. 48-3[...]

Księżniczka — 1. Możemy Pani polecić jedynie elektrolizę, któ[ra] niszczy włos wraz z cebulką; przeprowadzona umiejętnie n[ie] psuje cery i nie pozostawia znaków. Adres możemy podać w li[ś]cie. — 2. Przyciemnianie rzęsów farbą, która się nie zmyw[a] trwa przeciętnie 2—3 tygodni, a czasem nawet dłużej. Jest ni[e]szkodliwe.

P. Dora S. — Za miłe słowa i życzenia noworoczne serdecz[nie] dziękujemy. Radę na swoje utrapienie znajdzie Pani w III Al[ma]nachu »Świata Kob.« w artykule p. t. »Biust«. W drukowan[ych] odpowiedziach nie możemy sobie pozwolić na wyczerpuj[ące] objaśnienia, niezbędne w tym przypadku. Nie wyobrażamy so[bie] ażeby tak młodziutkie i sympatyczne stworzenie jak Pani, mo[gło] zasługiwać na nazwę »potworka«. Ze złośliwych uwag i k[...] radzimy nic sobie nie robić, gdyż najłatwiej zdobywają się nie ludzie płytcy i niedojrzali.

Redaktorki: Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska.
Wydawca: Bernard Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, Chorążczyzna
Telefon administracji: 4-32. Z drukarni i litografji Piller-Neumanna we Lwowie. Telefon redakcji: 48-[...]